

**K**onin miał swój ośrodek kulturalny. Do roku 1970 rolę tę pełnił Powiatowy Dom Kultury mieszczący się w budynku obecnej Państwowej Szkoły Muzycznej I i II Stopnia w starej części miasta. Na początku lat 60. pojawiła się inicjatywa stworzenia większego, nowocześniejszego kompleksu po drugiej stronie rzeki. Idealnym miejscem na plac budowy stały się czarnkowskie pola. Gmach został oddany do użytku przy ówczesnym pl. PZPR w roku 1970 (po 1989 roku pl. Niepodległości). Dyrektorami placówki byli kolejno: śp. Przemysław Malarz (1970), śp. Zygmunt Werbiński (1971), Konrad Zawal (1971-10.1976), Mirosława Mielcarek (10.1976-08.1977), Kazimierz Lipiński (09.1977-03.1986), Jerzy Łagodziński (04.1986-06.1988), Adam Augustiański (01.07-1988-14.08.2003), p.o. Robert Glapa (14.08.2003-30.10.2003), Piotr Starzyński (03.11.2003-02.11.2004) i Bogdan Cal (03.11.2004 – do dziś; od 2009 w sprawach merytorycznych zastępuje go Robert Glapa).

# Nowy dom kultury dla nowego miasta



## Z dyrektorem PDK i DKZK w l. 1971-1976 Konradem Zawalem rozmawiają Andrzej Dusza i Andrzej Moś

Gmach nowego Powiatowego Domu Kultury w nowej części miasta został oddany do użytku w 1970 roku. Rok później został Pan jego dyrektorem. Co Pan tutaj zastał?

Objekt po dość długim, 7-letnim okresie budowy, która przeciągała się z racji braku środków. Wystarczyło pieniędzy na podstawową infrastrukturę. Skończona była sala widowiskowa, oddane zostały obiekty pomocnicze ale brakło środków na wyposażenie w sprzęt czy niezbędną aparaturę. Nie było schodów od strony ul. Dworcowej, która była wtedy drogą jednopasmową, nie było salonu wystawowego, a dom kultury stał na skarpie, na pustym terenie, który trzeba było zagospodarować z zewnątrz i dostosować do użytku wewnątrz. Był to wybielony czysty obiekt z częścią mebli przywiezionych z domu kultury w Starym Koninie, które nie pasowały do nowego obiektu.

Czy znał Pan projekty nowego domu kultury i czy był sobie Pan w stanie wyobrazić jak to będzie wyglądało?

Na początku lat 60., kiedy zaczęto dyskusje o jego budowie, kraj znajdował się w trudnej sytuacji. Decyzje o takich inwestycjach nie były popularne, nie było gotowych projektów, które można było oceniać czy czerpać z nich wzorce. Fakt, że Konin był jednym z największych placów budów w Polsce – budowała się elektrownia Pątnów, kończono Konin, FUGO, huta, gwałtownie rosła liczba mieszkańców w nowej części miasta – stał się jednak okolicznością sprzyjającą temu pomysłowi. Powiatowy Dom Kultury w Starym Koninie nie był już w stanie sprostać oczekiwaniom tylu potencjalnych widzów. Było to możliwe, gdy liczba mieszkańców wynosiła 10-11 tysięcy ludzi, później już nie. Początki były skromne, bo nie było środków ani przyzwolenia na wydawanie wielkich pieniędzy. W trakcie wieloletniej budowy nowego domu kultury zaczęły też rosnąć koszty, którym trudno już było poddać. W 1966 roku władze wykorzystały pobyt premiera Cyrankiewicza, który otwierał jeden z tutejszych zakładów przemysłowych, namawiając go, by dofinanso-

wał ukończenie tej inwestycji z środków centralnych. Był to punkt zwrotny, który przyspieszył realizację i oddanie budynku do użytku.

Apetyt rośnie jednak w miarę jedzenia. Pawlicki podpisując w roku 1961 czy 1962 pierwsze projekty, był zadowolony, bo miał więcej niż w Starym Koninie. Od tego momentu do otwarcia upłynęło prawie 10 lat, świat się zmienił. Wszystko było inne – zaczynając od krzeseł w sali kinowej, nie mówiąc o prymitywnej klimatyzacji, która była w studni i jej działanie polegało na tym, że przyskała chłodna woda, produkując chłodniejsze powietrze niż na zewnątrz. Pomieszczenia też były lepsze, było ich więcej, ale wcale nie bardziej funkcjonalne. Akustyka była jaka była. Zakład Urządzeń Teatralnych w Warszawie robił, co mógł. Myśmy głośniki wymieniali, pewne elementy. Ale to nie była ani technologia, ani możliwości, ani pieniędzy nie było. Wydano ich dość dużo, ale wątpię, czy wynikało to ze znajomości funkcjonowania domu kultury. Nie wiem, kto projektował ten budynek, było w nim wiele nieporozumień. Poczynając od fosy dla orkiestry, która skraçała scenę i była przyczyną wypadków. Nie było też dobrego miejsca, by np. dokonać nagrań. W sali baletowej musieliśmy zakładać lustra, drążki. Nie było jednego pomieszczenia, które było od początku do końca przemyślane. Nie można było wybrzdziac, bo było to dużo lepiej niż w starym PDK. Był okazały budynek, ale jak przyszło do organizacji imprezy, kina, gdzieś grał big band, gdzieś ktoś ćwiczył to mówili: „Cicho, bo jest spotkanie np. w sali”. Nie było to to, czego chcieliśmy, lecz to, co mieliśmy. I trzeba było to zagospodarować, zaadaptować.

Czy to prawda, że salon wystawowy przy Dworcowej został dobudowany, ponieważ osuwała się skarpa i trzeba było ratować zachodnią ścianę nowego gmachu?



periodyk do wzięcia  
Nr 2 (47) • Listopad 2010

- Gdy budowano nowy dom kultury
- Marzymy o sali pełnej widzów
- W „Kolorowej” stołowały się gwiazdy estrady
- Kto kochał swoją ciemnię
- Chciał być operatorem
- Ludziom wciąż chce się organizować
- Sztuka wymaga miejsca
- Wszystko było prawdziwe
- Nowy dom kultury dla nowego miasta
- W teatrze zawsze jest ciepło
- Nie lekceważę niczego na scenie
- To były szalone czasy
- Wydobywając swoje ja
- Dzięki sztuce czuliśmy się wolni
- Tańczyliśmy Babiakiem i Malanowem
- Nie zgubiłem po drodze człowieka
- Kultura uwielbia chojność
- Warto inwestować we własne środowisko
- Celem pracy z amatorem powinna być zabawa

Wydanie specjalne jubileuszowe

Wydawca: Koniński Dom Kultury,

pl. Niepodległości 1, 62-510 Konin,  
tel. (63) 211 31 33,

Rozmowy na łamach: Andrzej Dusza, Andrzej Moś,  
Izabela Bobrowska  
Zdjęcia: Zdzisław Szklarkowski,  
Danuta Małas-Mańkowska, Ryszard Fórmanek,  
Zbigniew Murawski, Andrzej Moś, Marcin Oliński,  
Zdzisław Siwik, prywatne archiwa rozmówców  
Redakcja: Izabela Bobrowska  
Korekta: Izabela Bobrowska  
Druk i łamanie: Drukarnia Braci Wielińskich



## Szanowni Państwo,

oddajemy do Waszych rąk numer „Gazety K” poświęcony symbolicznemu jubileuszowi Domu Kultury, mieszczącego się od 1970 roku w nowej części miasta. Jego zawartość stanowi jedynie kroplę w oceanie historii, anegdot, wspomnień, których w czasie naszych poszukiwań staliśmy się świadkami. Publikacja ma formę znacznie skróconą, z prostej przyczyny – 40-letniej historii nie da się opowiedzieć na 16 stronach. Zdajemy sobie sprawę, iż wymaga ona szerszego oglądu, bazujemy w niej jednak na wspomnieniach i sentymentach ludzi związanych przez te lata z placówką. Zaglądając do niej, będziecie więc Państwo obcować z impresją na ten temat, co mamy nadzieję zainteresuje Was i skłoni – może do własnych poszukiwań? Często powtarza się obiegowe stwierdzenie, że „w Koninie nic się nie dzieje”. Temu sformułowaniu zadaje kłam nawet ta maleńka gazeta. W naszych rozmowach skupiamy się głównie na 2 pierwszych dekadach, chyba najmniej zapisanych w zbiorowej pamięci mieszkańców miasta i również naszej.

W czasie 40 lat ten Dom Kultury zatrudniał niemal 500 osób, które go tworzyły i pracowały na jego dobre imię. Od początku, z założenia, był instytucją, której podstawowym zadaniem stała się praca z amatorami i upowszechnianie kultury. Jego powstanie było związane z dynamicznym rozwojem przemysłu na naszym terenie i rosnącymi potrzebami kulturalnymi mieszkańców Konina. Budynek został wybudowany m.in. dzięki tzw. „odpisom” wielkich zakładów przemysłowych, które procent wypracowanych środków przeznaczały na inwestycje miejskie. Miało to wymiar głęboko społeczny, służący dobru ogółu i chyba dziś w sytuacji gospodarki rynkowej nie byłoby możliwe. Stało się również realne dzięki konsekwencji wielu urzędników tej sprawy.

Z okazji jubileuszu w hallu KDK-u 5 listopada 2010 będzie można zwiedzić wystawę fotograficzną autorstwa m.in. Zdzisława Szklarkowskiego, Danuty Małas-Mańkowskiej, Ryszarda Fórmanka i Zbigniewa Murawskiego, dokumentującą początki Domu Kultury (od godz. 17:00). Opiekunem tej ekspozycji jest koniński dokumentalista i fotograf, opiekun merytoryczny AKF „Muza” i pracownik KDK – Andrzej Moś.



Nie zabraknie też dobrej muzyki. Jubileuszowy koncert zagra „Konin Band Orchestra” pod dyktando Jarosława R. Piotrowskiego i Krzysztofa Pydyńskiego, która będzie towarzyszyła Danucie Błażejczyk. Prócz tej uznanej wokalistki, na scenie pojawi się też dwoje młodych śpiewających – Żaneta Matlewska i Łukasz Muszyński.

Zapraszam serdecznie. Spędźcie Państwo ten dzień wspólnie z nami. Dla wielu z Was będzie to sentymentalna podróż i spotkanie po wielu, wielu latach.

Życzę Państwu miłej lektury, słuchania i oglądania

Bogdan Cal  
Dyrektor KDK

## Historia inwestycji oczyma Izydora Garbaciaka

# Gdy budowano dom kultury

**Decyzja o budowie kompleksu przy pl. PZPR 1 została podjęta w październiku 1963 r. – Pełniłem wtedy funkcję kierownika szkoły podstawowej w Krzymowie, pod którą ogłoszono mi decyzję o natychmiastowym przeniesieniu do Powiatowej Rady Narodowej – w ten oto sposób przejąłem kierownictwo Wydziału Kultury w Koninie** – informuje Izydor Garbaciak, któremu w tamtym czasie powierzono nadzorowanie inwestycji.

– Rozpoczęto wykup prywatnego terenu, a zlecenie na opracowanie dokumentacji otrzymało Poznańskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Wiejskiego. Zespołem projektowym kierował inż. Kopydłowski. Trudności w realizacji nastęrczała rządowa uchwała o typizacji – belki stropowe nie mogły być dłuższe niż produkowane przez pewne firmy. Problem polegał na tym, że uniemożliwiała ona wykonanie sali baletowej, której posiadanie w nowo budowanym obiekcie było naszą ambicją. Przepis jednak obszedliśmy, poszerzając program użytkowy obiektu o...salę gimnastyczną (obecnie Hala Sermierca MOSiR – przyp. red.).

W 1965 zaczęła sływać dokumentacja, której koszt – 800 tysięcy złotych – sfinansowała Powiatowa Rada Narodowa. W grudniu 1964 r., jeszcze przed wydaniem pozwolenia na budowę, rozpoczęto prace ziemne. Roboty zatrzymano, ponieważ na tego typu inwestycje musiał wydać zgodę... premier rządu. A był nim wtedy Józef Cyrankiewicz, który wydał ją przy okazji pobytu w Koninie. Niestety nie zezwolił na budowę sali gimnastycznej i przeznaczył kwotę 16 mln złotych (całość inwestycji opiewała na 23 mln – przyp. red.) – mówi dalej ówczesny kierownik Wydziału Kultury

Budowę rozpoczęła w zastępstwie Dyrekcja Inwestycji Miejskich w Koninie. Pieniądże gromadzili wspólnie ww. Izydor Garbaciak i Piotr Kozłowicz – kierownik Wydziału Planowania Gospodarczego Powiatowej Rady Narodowej. Pochodzili one m.in. z odpisów na budownictwo realizowanych w końcu lat 60. wielkich budów przemysłowych takich, jak: Elektrownia „Pątnów”, odkrywka „Józwin” czy Huta Aluminium „Konin”. – Cały czas po głowie chodziła mi sala gimnastyczna... – mówi dalej Garbaciak. – Decyzję – wbrew premierowi – pomógł mi podjąć ówczesny kierownik Wydziału Kultury w Poznaniu – Tadeusz Peksa, przy lampce „Araratu” stwierdzając, że... „za pomnożenie majątku państwa jeszcze nikt nie siedział...”. Zleciłem więc Konińskiemu Przedsiębiorstwu Budowlanemu realizację całości opracowanego projektu.

Budowa miewała dłuższe prześtoje. Konin był miastem młodym, w którym ludzie chcieli się najpierw osiedlić, znaleźć pracę i żyć lepiej. Budowlancy zmieniali więc fronty robót: kierowano ich na budowy mieszkaniowe.

– Na domiar złego, od strony skarpy zaczęła się usuwać ziemia i wystąpiły pęknięcia na ścianie nowo budowanego obiektu (od obecnej

ul. Dworcowej). Był to najbardziej dramatyczny moment w historii całej inwestycji. Na podstawie ekspertyz inżynierów konstruktorów podjęliśmy decyzję o wybudowaniu muru oporowego i systemu filarów odporowych. Stworzyło to przestrzenną wiatę, którą łatwo było przystosować na salon wystawienniczy. Nie było na to pieniędzy, a należność za utworzenie koniecznego wsparcia wyniosła 1 mln 800 tysięcy złotych! Z opresji wybawiła mnie pomoc poznańskiego Wydziału Kultury i Dyrekcji Inwestycji Miejskich w Koninie. Salon zrosł się w bryłę kompleksu. Na wyposażenie obiektu zabrakło już pieniędzy... – kończy Izydor Garbaciak.

\*\*\*

Uroczyste otwarcie nastąpiło 6 listopada 1970 r. Dokonał go I sekretarz wydziału kultury KC PZPR w Poznaniu – Wincenty Kraśko, któremu towarzyszyli wiceminister kultury – Czesław Wiśniewski, oraz przedstawiciele władz województwa i powiatu. Gwiazdą pierwszej w historii Powiatowego Domu Kultury inauguracji była Halina Czerna-Stefańska. Pierwszą imprezą o skali krajowej był Ogólnopolski Przegląd Teatrów Poezji (20-25.10.1971, sponsorowany przez Związek Zawodowy Transportowców i Drogowców), w którym wzięło udział 300 osób z całego



kraju. Pierwsze konińskie Derby Kabaretowo-Estradowe odbyły się w 1978 r. w czasie dwóch koncertów zatytułowanych „Konin, Kopyt i Gwiazdy” oraz „Złote Podkowy na szczęście”. Pierwsze Ogólnopolskie Konfrontacje Dziecięcych Zespołów Tanecznych zorganizowano w 1979 r. z czasem dołączyły dzieci śpiewające i konkurs przybrał formę Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca (od 1998 r. „międzynarodowy”). Pierwszy Przegląd Polskich Filmów Fabularnych „Debiuty” odbył się w marcu 1985 r. Pierwsze Ogólnopolskie Konfrontacje Tańca Współczesnego – w 1999 r., a pierwsze Mistrzostwa Polski Battle of the Year – w 2003 r. (2003, 2004, 2005).

Realizację budowy fotografał Zdzisław Szklarkowski. Historię tej inwestycji przedstawiają inaczej m.in. byli szefowie PDK w Starym Koninie: Stanisław Leń i Szymon Pawlicki, oraz dyrektor PDK i DKZK w l. 1971-1976, Konrad Zawal.

# Marzy mi się, by ta piękna sala była pełna widzów

Z Włodzimierzem Cichockim, kierownikiem administracyjnym WDK i KDK rozmawia Andrzej Moś.

**Ile razy tu się coś robiło. I czy to jest wszystko, co można było zrobić? Jakie jest Twoje zdanie jako świadka tych ulepszeń?**

Za mojej 30-letniej obecności tutaj sala widowiskowa była 4-krotnie remontowana. Pamiętam jak wyglądała za DKZK i WDK, drewniana boazeria, która miała ją wygłuszać. Potem sala była czarno-bordowa, zostały wymienione fotele, a później wystrój został zmieniony na niebiesko z dodatkiem srebrnej perforowanej blachy. Fundusze nie pozwalały nigdy na wszystko. Wtedy, żeby pokazać, ile to kosztowało pieniędzy, trzeba było zmienić kompletnie wygląd sali.

No i ostatnio, w 2008 roku z niebieskości przeszliśmy na czerwony, standardowy dla pomieszczeń teatralnych w kraju w obecnym czasie. Jeśli dotąd była ona modernizowana 4 razy, to łatwo policzyć – remont kapitalny powinien odbywać się co 8 lat, ostatnio upłynęło 9 i była ona już pod koniec w oplakany stan.

**Dogoniliśmy już średnią krajową?**

Nie spotkałem się z negatywną opinią. Każdy, kto przyjeżdża, chwali tę salę, bo ona konstrukcyjnie jest dobrze pomy-

ślana i wykonana, i ma dobrą akustykę. Nie pamiętam, żeby artyści, a występowali tu i muzycy rozrywkowi, i poważni, aktorzy, mówili coś, co mogłoby dać nam do myślenia. Raczej jest chwalona, także za wygląd. Jest przytulna, a świeżo po remoncie jest ładna, nawet okazała, więc nie mamy się czego wstydzić. Może brak tylko dokucają nam braki – wystarczającego oświetlenia, podświetlenia, kłopoty z klimatyzacją z wentylacją.

**Czy oświetlenie teatralne w ogóle jest potrzebne dla paru spektakli w sezonie?**

To jest sala wielofunkcyjna. Wyświetlane są tu filmy kinowe, występują kabarety, teatry, odbywają się koncerty, pokazy i spektakle taneczne, prezentują się formy amatorskie, więc jest niezbędne. Musimy pożyczać światła, raczej dopytywać i to samo jest z nagłośnieniem. Dla obecnej działalności potrzebne jest profesjonalne doposażenie, żeby spełniać standardy. Potrzebne jest nam oświetlenie specjalistyczne – nie mamy. Nagłośnienie estradowe z prawdziwego zdarzenia, na którym można byłoby zrobić koncert rockowy i recital – nie mamy. Kino, które funkcjonuje w tej

samej sali posiada system Dolby, ale to już prawie przeżytek, bo jak pamiętam może mieć on 12-15 lat. Dawno weszły już nowe technologie, za którymi powinniśmy się zacząć rozglądać...

**W związku z tym masz wiele marzeń?**

Nie wiem, czy można to nazwać marzeniami czy życzeniami. Moim marzeniem – na początku XXI wieku – jest, żeby ciepła woda była w łazienkach. Kiedyś z powodu oszczędności ją odcięliśmy. Marzy mi się, by można było włączać ciepło jesienią i wyłączać wiosną. Teraz ważny jest każdy dzień – również z powodów wymienionych, w którym go nie włączamy. Marzy mi się, by pomieszczenia, które kiedyś zostały wybudowane dla celów kultury, wróciły do nas. Żeby ośrodek kultury nie musiał dorabiać do budżetu. Bo przecież są wieczne problemy z pomieszczeniami – nie mamy szatni dla dzieci, pracowni plastycznej sensoryjnej, więc jakość kształcenia w końcu też nie będzie spełniać wymogów. Nie chodzi przecież tylko o to, jak dobrze pracuje instruktor, ale i o to, w jakich warunkach odbywają się zajęcia.

Pochodzę z rocznika należącego



do wyżu demograficznego. Pamiętam, że do kina stało się w kilometrowych kolejkach, nie było żadnej przedsprzedaży. Teraz przychodzi kilka osób. Nie wiem, czy jest to przesytno spowodowane przez media i Internet, czy one tak zdominowały ten XXI wiek, że ludzie nie chodzą oglądając sztuki na żywo? Czy to są po prostu koszty, których widz nie jest w stanie ponieść? O ile pamiętam bilet do kina w 1975 r. – a posiadam taki – kosztował 15 zł. Dzisiaj też tyle kosztuje. Bilet na koncert Czesława Niemena, był wtedy bardzo drogi – kosztował 50 zł. Ale dzisiaj bilet na koncert estradowy kosztuje tyle samo. Pieniądze nominalnie te same, może relacyjnie są inne? Najbardziej mnie boli, gdy sprawdzamy artystę i nie ma na niego chętnych...

Dziękuję za rozmowę (AM).

## „Kolorowa” bardzo kolorowa

Z okien Restauracji „Kolorowa”, otwartej w 1963 roku widać było plac budowy. Często psocili na nim dzieci. Wkrótce na czarnokowskich polach, naprzeciw, miał stanąć nowy obiekt kulturalny. Z wielką pompą został oddany do użytku 6 listopada 1970. Pierwszy sezon kulturalno-oświatowy 1970/71 otworzył koncert Haliny Czerny-Stefańskiej i Wielkopolskiej Orkiestry Symfonicznej im. Karola Kurpińskiego w Poznaniu pod batutą Józefa Klimanka. Znamienici wykonawcy gościli się tego dnia w „Kolorowej”.

– Moja córka bawiła się na tej budowie, przyszła do mnie kiedyś do „Kolorowej” ubrudzona gliną – wspomina Wanda Łukasik, kierownik najsłynniejszej restauracji przy Alejach. W jej kronice znalazły się wpisy. Za gościnę dziękują w niej m.in. wybitna polska pianistka, chopinistka – Halina Czerny-Stefańska oraz dyrygent – Józef Klimanek. Kolejnego dnia wystąpiła też i posiliła się w Koninie Orkiestra Pałacu Kultury w Poznaniu (podpis dyrygenta nieczytelny). Dobre jedzenie i miła obsługa były częścią występów wielu wykonawców. W kronice pani Wandy widnieją autografy Kazimie-

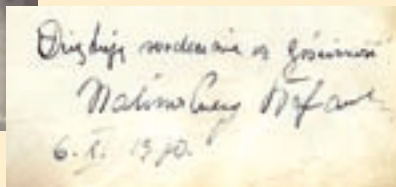


Halina Czerny-Stefańska

rza Brusikiewicza, Igi Cembrzyńskiej, Ireny Santor, Jerzego Derfla, a nawet Lidii Korsakówny. W latach 70. stolowała się w „Kolorowej” wschodząca gwiazda polskiej estrady – młodzianka Maryla Rodowicz. – **Najbardziej ukochał siebie naszą restaurację Mieczysław Fogg** – informuje pani Wanda. – **Przyjeżdżał do nas wiele razy, najpierw sam, potem z Foggoramą. I miał w „Kolorowej” własny stolik. Kiedy wybudowano hotel w centrum miasta, chcieli, żeby**

**stołował się w restauracji na dole, ale Fogg się wściekł i przyszedł do nas, do swojego stolika. Mieczysław Fogg po raz pierwszy wpisał się do kroniki w 1971 roku: „Bardzo dziękuję za smaczne potrawy i miłą obsługę” (11.12.1971), drugi – w marcu, 3 lata później z post scriptum: „To już drugi raz!!!”**

Pani Wanda kierowała Restauracją WSS „Kolorowa” niemal od samego początku. Pamięta doskonale pierwszego dyrektora Powiatowego Domu Kultury, śp. Przemysława Malarza, pamięta też Konrada Zawala, Kazimierza Lipińskiego.



– **A potem to już się czasy zmieniły** – dodaje. W konińskiej „Kolorowej” siadali do posiłków także Laskowik i Smoleń. Śmiało można powiedzieć, że stolował się w niej cały świat – Chińczycy, Niemcy, Anglicy, Węgrzy, Czesi, Jugosłowianie i Rosjanie, oraz przedstawiciele tzw. „prasy centralnej” (wpis dziennikarza „Głosu Wybrzeża” i „Sztandaru Młodych”), równie chętnie dziennikarze „Przeglądu Konińskiego”. Za pyszne jedzenie dzie-

kowali profesorowie, harcerze, ekipa filmowa w PWSFTViT w Łodzi, emeryci, renciści, związkowcy, wycieczkowicze, zwykli ludzie, a nawet Poseł na Sejm PRL-u. Słowa uznania zawierają się chyba w jednym z pozostawionych na pamiętkę podziękowań: „Polak jak chce, to potrafi”.

– **Kiedy otwierali „Pątnów” mieliśmy przyjęcie na 800 osób. Jeszcze więcej ludzi odwiedzało nas, gdy budowana była Bazylika Licheńska. Co pół godziny wycieczka. Nie dostawaliśmy świeżego mięsa, były tylko mrożonki. Gdybyśmy ich nie wyjęli na czas, nie byłoby czym podjąć ludzi. Pracowały u nas cudowne osoby – dietetyczki, kelnerzy, kucharze. Wszyscy z papierami, a kierownik musiał znać się na wszystkim – na dokumentach, na żywieniu, na księgowości, na zarządzaniu i na pielęgnowaniu piwa. I zwracać uwagę – ale po ludzku! Wspólnie z innymi kobietami nabijałyśmy 200l beczkę piwa! Można było u nas zjeść baraninę i koninę. „Kolorowa”, kiedy tu przyszedł, miała najpiękniejsze zastły w mieście! Takie czarno-żółto-pomarańczowe** – wspomina pani Wanda.

Restauracja „Kolorowa” została otwarta 8 marca 1961 roku. Nieprzerwanie w tym samym wystroju przetrwała do 14 kwietnia 1978 r. Została zamknięta w roku 1990. Sojusz kultury, dobrej rozrywki i jedzenia przetrwał 20 tłustych lat.

Izabela Bobrowska



# Kochałam moją ciemnię

Danuta Małas-Mańkowska instruktor ds. fotografii w DKZK i WDK

Do pracy przyjmował mnie dyrektor Konrad Zawal w 1974 albo 1975 roku. Pracownik był dla niego najważniejszy. Nie ma chyba człowieka, który mówiłby o nim źle. Od początku zajmowałam się fotografią u druha Szklarkowskiego. To był mój pierwszy szef, jeśli chodzi o profesjonalne ukieunkowanie. Wspaniały człowiek, z wielką kulturą osobistą. Przejęłam od niego wiele nawyków, które pozostały mi do dzisiaj, na przykład, że wszystko trzeba zapisywać. Wtedy nam nikt nic nie powie, że to nie jest prawdą, i że tego nie zrobiliśmy, i że tam nie byliśmy.

Pierwsi koledzy, koleżanki, pierwsi moi przełożeni, pozostali mi jednak w pamięci. Elżbieta Zawal, żona dyrektora, śp. Przemek Malarz, do którego mam najwięcej sentymentu, wspaniały, cudowny człowiek. Kiedy siadał w kawiarni, to oczywiście nie było wokół pustego krzesła. Basia Malarszowa, która zrobiła bardzo dużo dobrego dla kultury naszego miasta. Prawdziwa profesjonalistka. Pamiętam pierwszą wy-

stawę, którą zrobiła dla studenta, Andrzeja Mleczo. Jak przez mgłę pamiętam wystawę prac Magdaleny Abakanowicz. Teraz oglądam tych jej ludzi bez głów w Millennium Park w Downtown w Chicago. Dzisiaj to Amerykanie zastanawiają się, co tak naprawdę oznaczają ci ludzie bez głów. A przecież Abakanowicz najpierw była w Koninie, zanim świat zawojowała swoimi pracami. Podobnie Mleczo.

Oczywiście Józiu Rosiński, Michał Ciesielski. No i ważna dla mnie osoba, pani Jagoda Zdulska. Bardzo ważna także przez wiele lat dla domu kultury. Prócz wymienionych także Jadzia Kujawińska, no i Zosia Radziemska. To też wielkie dusze konińskiej kultury. Jest oczywiście Zosia Staliś, o której wiem, że nie mieszka w Koninie, ale bywa tu czasami. Państwo Dimitrowowie, Giotto i pani Mira... Giotto zawsze współpracował z domem kultury. Pamiętam, że u mnie, w pracowni, jego rzeźby ciągle były. Piękne. Nie jechałam dawno na stronę Warszawy, ale myślę, że

ta jego rzeźba konia, ciągle piękna, tam jest. Przypomina mi się jeszcze nazwisko muzyka... Fiałkowski... Na zdjęciu stara kadra: Rysiu „Borówka” Borowiecki, Józinek Sutyla, Gieniu Sznycer, Andrzej Kolański, Miecio Kosmański, Staszek Brzeziński, Grzesiu Wypychowski. A przecież pracowałam również z dyrektorem Kazimierzem Lipińskim. Kiedy odeszłam na urlop macierzyński, domowi kultury szefował już Adam Augustiański. Pamiętam również dyrektor Mirosławę Mielcarek, poznaniankę, która była tutaj bardzo krótko, ale z wielkim sercem dla kultury.

W tych latach w większości zdjęcia robiłam ja i Zdzisław Szklarkowski. Do moich obowiązków należało przygotowywanie dokumentacji fotograficznej województwa konińskiego. Nie tylko wydarzeń kulturalnych, wszystkiego. No i oczywiście współpraca z „Głosem Wielkopolskim” i z „Przeglądem Konińskim”, z Krzysztofem Dobreckim, z Ryszardem Sławińskim. Korzystali z usług pana Szklarkowskiego i moich. Po

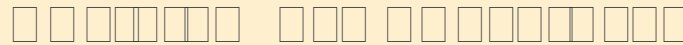


jakimś czasie dopiero pojawił się Ryszard Fórmanek. Moja pierwsza ciemnia była najwspanialsza. Wejście do niej było obok wejścia do podscenium. Bo warto przypomnieć, że kiedyś między widownią a sceną był takie specjalne miejsce dla orkiestry. Z tego miejsca można było czasami, w czasie pracy, film obejrzeć. Zejście w dół i dwie pracownie: mała i duża pracownia fotograficzna, a prosto wejście na podscenium. Jak ją tę ciemnię kochałam...



Antoni Sienkowski

Do Konina sprowadziłem się w 1969 roku, bo słyszałem, że tutaj są lepsze perspektywy. Trzy miesiące, pracowałem w cukrowni w Kruszwicy. Dopiero 2 stycz-



**Antoni Sienkowski**  
kinooperator, operator, twórca filmów amatorskich i założyciel Amatorskiego Klubu Filmowego „Muza” w PDK, DKZK i WDK

nia 1970 roku dostałem pracę kinooperatora w kinie „Górnik”. Kilka miesięcy później powstało kino „Zagłębie”, w PDK, gdzie pracowałem jako główny kinooperator.

Kolejny dyrektor, Konrad Zawal zatrudnił mnie jako laboranta, dodatkowo, oprócz kina. W laboratorium trafiałem na śp. pana Zdzisława Szklarkowskiego, który miał specjalną kategorię instruktora w zakresie fotografii. Nauczył mnie wszystkiego, na początku fotografii czarno-białej, potem kolorowej. Później sam zacząłem uczyć fotografii młodzież szkolną. Ale chciałem zostać operatorem, założyć kółko lub klub filmowy, pan Szklarkowski porozmawiał z dyrektorem o sprowadzeniu do WDK jakiegoś instruktora z Poznania. Po zakładach pracy zostały puszczone wici, że takie „coś” powstaje. Nie szukaliśmy najpierw młodzieży, ona pojawiła się później, tylko ludzi pracy. Zgłosiło się około 20 osób, najwięcej z FUGO, m.in. Józek Szyk, Roman Bieliński, Gustaw Schneider, Czesław Rakowicz i inni. Powstał Amatorski Klub Filmowy „Muza”.

Radosław Lewandowski pokazał nam warsztat filmowca i lykneśliśmy bakcyła. Pierwszym filmem była „Ziemia przemian i przyszłości”. Robiliśmy go w sześciu: Kowalczyk, Schneider, Szyk, Bieliński, Rakowicz i ja. Film na Przeglądzie Filmów Amatorskich Wielkopolski w Rawiczu, w 1974 roku, zdobył wyróżnienie. To nas zmobilizowało, chociaż nie mieliśmy żadnych narzędzi, poza kamerką Krasnogorsk-1, wypożyczoną z Poznania.

Następne były „Dożynki '74”, dokument, który rok później otrzymał drugą nagrodę w Rawiczu. A potem każdy próbował zrealizować jakiś własny pomysł. Mój pierwszy własny film był zatytułowany „Tatulek”, rozpo-

czynał się animacją. Było z tym dużo zachodu, bo to przecież były czasy, gdy wszystko rejestrowało się na taśmie, potem montaż na stole, bo komputerów wówczas nie było. Taśmę trzeba było wysłać do wywołania i zawsze towarzyszyła niepewność, czy dobrze wszystko wyjdzie, czy te obrazki będą takie, jakie się chciało. „Tatulek” w Rawiczu zdobył, z dziedziny fabuły, wyróżnienie. Potem, w 1976 roku, wysłaliśmy go na OKFA



Zdzisław Szklarkowski

w Bydgoszczy. „Tatulek” to był pierwszy film, zrobiony w AKF „Muza”, wysłany na OKFA, który został wyróżniony nagrodą specjalną. Potem były „Rury wydechowe” Krzysztofa Malanowicza, „Takt” Krzysztofa Przybyłaka. Wspólnie zrobiliśmy, pod moim kierunkiem, „Czarną owcę”. Film nie zdobył żadnej nagrody, ale mieliśmy satysfakcję, że jednak warsztat pojeśli ci, którzy chcieli chodzić na zajęcia klubowe.

Pierwszy filmem animowanym zajęł się plastyk, Józef Szyk („Urodzony w niedzielę”, 1975). To historia człowieka, który mało pracuje, a chce dużo zrobić. Ten film, kukielkowy, a nie rysunkowy, był fantastyczny. Byliśmy z nim nawet w Bielsku Białej, aby zobaczyć jak powstają tam filmy animowane. Józek pokazał swój film, bielscy mistrzowie ocenili go życzliwie. Scenografię do niego wykonali Czesław Rakowicz i Gustaw Schneider. Oni mnie zarazili animacją. W 1976 roku zrobiłem film rysunkowy, zatytułowany „Genesis”. Oczywiście, bez sukcesu, ale samo to, że człowiek chciał zobaczyć, jak to się porusza, jak się robi żywy obraz z rysunków. Trochę literatury trzeba było zasięgnąć, by wykonać zdjęcia poklatkowe... Animację zrobili też jeszcze Roman Krężel z Krzysztofem Przybyłakiem. To był film rysunkowy „Czwarty wymiar”. Taki science-fiction, bo to o przestrzeni kosmicznej, gwiazdach się nie zachował.

Koniński Serwis Filmowy był szczególnym dziełem klubu. Jako prezes zarządu „Muzy” namawiałem dyrekcję, by takie kroniki powstawały. No i temat chwycili, nawet miasto kupowało nam taśmę filmową. Jeździło się z kamerą na jakiś tam zjazd Komitetu Wojewódzkiego PZPR, różne imprezy w mieście... Powstały tylko dwa serwisy, obydwaj w 1975 roku. Nie wiem, czy gdziekolwiek zachował się pierwszy, drugi mam nawet w całości: z dźwiękiem jest przegrany na dvd.

Właśnie do mnie dotarło, że Klub powstał w 1973 roku, to znaczy, że w 2013 roku będziemy obchodzili 40-lecie. I co mnie dziwi, a w zasadzie nie powinno dziwić, że Klub „Muza” nadal istnieje. Mam nadzieję, że spotkamy się w 2013 roku w gronie ludzi, którzy jeszcze żyją, a którzy przeszli przez ten klub. Myślę, że dyrektor KDK-u poprze nasze dążenie do świętowania... 50-lecia?



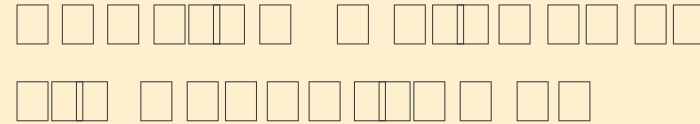
Pracownia AKF „Muza”



Leszek Czajor

Andrzeja Mosia poznałem jeszcze w „Przeglądzie Konirńskim”, i potem spotkałem się w WDK-u, w 1982 roku, zajmując się filmem: Andrzej czynnie, ja – można powiedzieć – teoretycznie czy organizacyjnie. I rozmawialiśmy o tym, co nas w kinie interesuje. Staraliśmy się pokazywać konirńskiej publiczności filmy amatorskie, robione przez AKF „Muza”, ale także ściągaliśmy z Filmoteki Polskiej dokumenty. To się nazywało Małe Kino.

Z naszych wspólnych fascynacji i też moich udziałów w Koszalińskich Spotkaniach Filmowych „Młodzi i film”, gdzie pokazywano młode kino, narodził się pomysł pokazania w Koninie filmowych debiutantów. W tym czasie nie było w Polsce takiej imprezy. W 1985 roku po raz pierwszy zaprosiliśmy konirńskich kinomanów na Przegląd Polskich Filmów Fabularnych „Debiuty”. Wygrał je piękny film Jacka Schoena „Wir”. To był jedyny film tego reżysera, który potem między innymi kierował krakowskim ośrodkiem telewizyjnym. Do tej



### Leszek Czajor dziennikarz, pracownik WDK, współtwórca Przeglądu Polskich Filmów Fabularnych „Debiuty”

pory pamiętam ten obraz. Był bardzo wyśmakowany, bardzo dobrze zrealizowany i był dużym przeżyciem estetycznym, jeśli tak można powiedzieć.

W pierwsze edycje byłem mocno zaangażowany. Jako dziennikarz przez wiele lat pisałem o nich. Czuję się troszeczkę ich ojcem. To przyjemne uczucie, że istnieje coś, co się w jakiś sposób stworzyło. Oczywiście interesuję się, staram się chodzić na filmy, które są pokazywane, ale tak naprawdę „Debiuty” to w tej chwili Andrzej Moś.

To był czas, kiedy trudno było o dobre kino. Miejscem, w którym pokazywano dobre filmy, polskie i zagraniczne, które już zeszły z ekranów, i które już miały swoje miejsce w historii kina był DKF. Filmy te trafiały do nas z Filmoteki Narodowej, gdzie były jakby specjalnie dla dyskusyjnych klubów filmowych przechowywane i przeznaczone. A poza tym organizowaliśmy też filmowe maratony i maratony filmów gry, sensacji. Wtedy sala widowiskowa była przez trzy wieczory – po trzy seanse najmniej – pełna. Taki był głód dobrego kina.

Rok po „Debiutach” narodziły się Konirńskie Spotkania Gitarzystów Jazzowych. Impreza miała tylko pięć edycji, później zaprzestałem już interesować się



Andrzej Moś

jej organizowaniem. Zresztą pojawili się młodzi ludzie, którzy – tak jak teraz to się dzieje – organizują różnego rodzaju imprezy w Koninie, dzięki czemu jazz jest ciągle obecny. I bardzo dobrze. Było to pięć spotkań z ciekawymi wykonawcami, z czołową krajową. Byli między innymi Marek Bliźniński, Janusz Strobel i Krzysztof Ścierański, koncertowali też gitarzyści z Czechosłowacji, na przykład Rudolf Dasek, ze Szwajcarii Hanz Affolter, z ówczesnego ZSRR Alekszej Kuzniecowa. Wśród

nich konirńscy: Krzysztof Żabierek – bardzo dobry pianista, Big Band Krzysztofa Pydyńskiego. Wystąpiło też Trio in Jazz w składzie: Krzysztof Czop – kontrabas, przedstawiciel naszego środowiska muzycznego, Marcin Jah – perkusja, Joachim Menzel – piano. Po dołączeniu saksofonisty Mariusza „Fazi” Mielczarka, grupa zmieniła nazwę na Quartet in Jazz. W drugiej połowie lat 80. należeli do najlepszych zespołów polskiego młodego jazzu. W tej chwili stanowią czołówkę polskiego jazzu. Przez kilka lat w KDK-u, trochę dzięki

moim staraniom, mieli miejsce na próby, na opracowywanie repertuaru, z którym potem po Polsce jeździli i pokazywali, co potrafili.

Organizatorem Spotkań... był dom kultury, przy współpracy władz kulturalnych miasta i województwa. Koncerty odbywały się w dużej sali widowiskowej i w ArtKlubie, oraz w Klubie „Hutnik”. Towarzyszyły im wystawy zdjęć, m.in. Marka Karewicza, który przez kilkadziesiąt lat towarzyszył z aparatem polskiemu jazzowi. Poza przyjemnością oglądania, mieliśmy też okazję wysłuchać

barwnych opowieści o jego przygodach związanych z jazzem, z muzykami jazzowymi. Przychodziło kilkadziesiąt osób, czasami więcej. Nie jest on muzyką dla wszystkich, trzeba go lubić, trzeba czuć i te kilkadziesiąt osób to było grono, dla którego warto było robić te imprezy.

Na szczęście jazz, jak również kino, lubią młodzi ludzie. Oni są najwierniejszą publicznością, na którą można liczyć. Ważne, że koncerty są, że można wybrać. W Koninie naprawdę sporo się dzieje. Dobrze, że są ludzie, którym się chce to organizować.



### Józef Sutyla pracownik PDK, DKZK, WDK i KDK, plastik, muzyk, perkusista zespołu Truwerzy

Rozpocząłem pracę w 1971 w dziale kulturalno-oświatowym, prowadzonym przez śp. pana Malarza. To było coś takiego jak dzisiejszy impresariat. Malowałem reklamy, plansze, etc. Głównym plastykiem PDK był wtedy Włodzimierz Habel, artysta pełną gębą, profesjonalista, piękny postawny mężczyzna o greckiej urodzie, z Gdańska. Miał bardzo dużo wystaw w galerii na Tuwima, gdzie mieścił się najpierw Klub Energetyk. Robił zdjęcia, grafikę. Parą się metaloplastyką. Jedną pracę wydobylem ze śmieci. Mam jego obraz i metaloplastykę. Spleśniała, podmokła, ale uratowałem, co się dało. Jest tu nawet jego podpis.

Był to człowiek, który wymyślił nową technikę, łącząc m.in. fotografię i malar-

stwo. Na tych jego zdjęciach, przeważnie były to akty, była jego żona Inga. Nie wiem, czy ona tu pracowała, ale wiele robili wspólnie. Wystawiał te swoje rzeczy w BWA. To było najlepsze miejsce dla takich prezentacji. Każdy mógł przystąpić. I wszyscy wiedzieli, gdzie było BWA. Ono po prostu nie mogło zostać niezauważone. Odbywały się tu wernisaże z bardzo dobrą aranżacją, która wyglądała jak teatralna scenografia. Zwodziliśmy z pół kamienie, kolki, układaliśmy to wszystko. Panował nad tym Eugeniusz Siwek, plastik, wykładowca na ASP w Poznaniu. Pracował parę lat w Koninie, był znaną i kontrowersyjną postacią. Miał dużo kontaktów. Za jego czasów właśnie odbyły się największe i najbardziej spektakularne wystawy. To, co robił wszystkim pasowało, jednak nie był przez wszystkich mile widziany i w końcu wrócił do Poznania. BWA zostało przeniesione do „Klubowej”. Później do sali prób tanecznych. Chcieliśmy jeszcze urządzać cyklicznie wystawy indywidualne – grafika, rzeźba, malarstwo. Ciągłe brakowało pomieszczeń, działały się rozrastały i z braku środków zabrane zostały i to miejsce. Lokal był taki, że u nas mogło to wisieć 2-3 dni, w normalnej galerii dzieła pokazuje się 2-3 tygodnie. Z bocznych ścian usuwaliśmy prace, żeby



dzieciaki mogły ćwiczyć. Taka dziesiątkiokwanna galeria nieelegancko wyglądała. Jak ruszyła „Wieża Ciśnień”, naturalną śmiercią to umarło.

Jako wiodąca placówka kulturalna bez salonu wystaw. Są ciucholandy, biura, sklepy, ale miejsca dla sztuki nie ma. W obecnych czasach, by zaprosić kogoś znanego, trzeba spełniać standardy. Klimatyzacja, przestrzeń...

A grałem od zawsze. Na pudlach, na krzesłach, ale nigdy nie podejrzewałem, że stanę za bębniem. W Krakowie, w Liceum Plastycznym mieszkałem w bursie z muzykami. Jazzowaliśmy razem w łazience. Potem zastąpiłem na perkusji chorego kolegę, wyjechałem w trasę na Wybrzeże i kiedy później powiedziałem Zawalowi, że gram poprosił Stacha Fiałkowskiego, żeby mnie przesłuchał. Miałem stracha, bo Staszek jest rzutki, nerwowy. Ale zaczą-

łem grać w trio i stamtąd przeszedłem do Truwerów. Dla nas wszystkich grających był on autorytetem, nie dalo się ślizgnąć. Kiedyś z okazji rocznic, wieszalo się duży fryz – 17 plansz po 1,50/1,70 metra z płyt pilśniowych, to się spinało ręcznie, na drutach, łapy zgrabiałe od zimna, pocięte. Myśleliśmy że Stasiem Kwiatkowskim, że jakieś luzy będą. A Fiałkowski czekał na próbie. Jak nie było efektu, sekcja dęta zwolniona szła do domu. A my ćwiczyliśmy. Nikt się nie obrażał na niego. Dzięki temu reżimowi coś tam się zwojowało. Z Truwerami wystąpiliśmy w Bnie, w Hodoninie w Czechach, w NRD. W Bratysławie. Polskę objechaliśmy – Opole, Kołobrzeg, Zielona Góra, Warszawa – Święto Trybuny Ludu, w „Stodola” – 3 lata pod rząd na zmianę z Krystyną Prońko. Z Big Bandem „Konin” jeździliśmy na targi estradowe do Łodzi.

Staszek dostał propozycję przejścia do Estrady Bydgoskiej i pociągnął mnie, i Stasia Kwiatkowskiego. Dojeżdżaliśmy. A tutaj po Fiałkowskim szefostwo przejął Mieciuch Kosmalski, bardzo dobry muzyk, zdolny niesamowicie facet ze Słupcy. Występowaliśmy jako Truwerzy i to właśnie z nimi pojechaliśmy do Kołobrzegu. Z Fiałkowskim byliśmy w Opolu. Potem zjeździliśmy kraj i dostępne wtedy kraje. Kapela się trzymała. Andrzej Kolański był wokalistą, grał na kongach. Trzy dziewczyny ze Słupcy śpiewały też. Big band rozpadł się po odejściu Staszka.

Różne się tu okresy przeszło. Nie żałuję, że tyle lat przepracowałem w domu kultury. I nieważne było, czy ja zarabiałem tu dużo czy mało – to była przygoda. Marzeniem moim jest dotrzeć w zdrowiu do emerytury. I żeby jeszcze pracownia była z prawdziwego zdarzenia.





**Jadwiga Kujawińska**  
pracownik, kierownik działu instrukcyjno-metodycznego PDK, DKZK, WDK  
dyrektor CKiS w Koninie

Spędziłam tu połowę mojego zawodowego życia, które trwa już 42 lata. To miejsce, budynek, zakamarki są mi ciągle bliskie. W pomieszczeniach działu medialnego KDK zainstalowała się wielka poligrafia, maszyny, zazwyczaj popsute albo słabo drukujące, na których kserowaliśmy materiały metodyczne. Wcześniej mieścił się tu klub fotograficzny, którym zarządzał śp. Zdzisław Szklarkowski. Wykonane kiedyś przeze mnie pod okiem mistrza zdjęcia, znalazło się na okładce wydawanego na początku lat 70. przez DK magazynu kulturalnego „Pegaz”. W latach 80. ulokował się dział instrukcyjno-metodyczny. Pomieszczenia były przeznaczone dla pracowników terenowych, mieściła się również biblioteka repertuarowa.

Praca w środowisku wiejskim, szczególnie w tamtych czasach, była niezwykle ważna. Pochodzę ze wsi i chciałam coś dla tego zaniedbanego środowiska zrobić. Wspólnie z kolegami z działu mieliśmy pełne ręce roboty. Prowadziliśmy działania w klubach rolnika i klubach książki i prasy, których do 1975. na terenie byłego województwa konińskiego było ok. 100. Byłam pomysłodawcą turnieju przedszkoli, dzięki któremu nastąpiło wielkie ruszenie tych placówek w mieście i z terenu, spotkań z piosenką w terenie, zgaduj-zgaduli, wieczorów klubowych związanych z rocz-

nicami dzisiaj nierealnymi, jak np. 30-lecie Ludowego Wojska Polskiego czy 50. rocznica powstania ZSRR. Realizowaliśmy je w klubach, bo gminnych ośrodków kultury jeszcze wtedy nie było.

Struktura organizacyjna się zmieniała. Był np. dział doskonalenia kadr, utworzony po reformie administracyjnej, którego byłam kierownikiem i w którym pracowali też ludzie z działu artystycznego – Jurek Bąk, Gieniu Siwek, Józek Rosiński, Dzidka Witczak, Zosia Staliś i dwie osoby organizacyjne z pomysłami, co w tym terenie robić – ja i moja przyjaciółka, Zosia Radziemska. Inną osobą, która była i jest dla mnie wzorem i nauczycielką, z której doświadczeń i zapala korzystam do dziś, była Jagoda Zdulska, zawsze związana z terenem. Wspominałabym jeszcze innych wspaniałych ludzi: Włodka Habela, który w l. 70. zapoczątkował działalność plastyczną, który potem wyjechał do Niemiec i niestety zmarł w młodym wieku, Basię Malarzową prowadzącą Salon Wystaw przy ul. Dworcowej. Jej mąż, Przemek Malarz śp. przeszedł ze Starego Konina, a na początku bardzo krótko był dyrektorem nowego PDK. I dyrektor Konrad Zawal, który był dyrektorem wspierającym, który wymagał – co było trudne wtedy, kreatywnej postawy wobec pracy.

Mieliśmy jeden samochód typu „Nysa”, był problem, żeby wyjechać w teren. Jeździło się więc autobusami. „Nysa” była przeznaczona na specjalne okazje, kiedy wyjeżdżaliśmy np. na jakiś wieczór z piosenką do klubów. Wieczory bywały zimne, ludzie siedzieli w kurtkach, wyposażenie było siermiężne. Staraliśmy się, by te spotkania czegoś uczyły. Inne działy aktywnie się włączały. Idea była np. taka, że jechał zespół Truwerzy ze Stasiem Fiałkowskim i uczestnicy tych spotkań ćwiczyli pod okiem muzyków. Albo do „Nyski” wsiadało ze 12 osób i jeszcze jakieś rekwizyty, i jechaliśmy realizować formy teatralne. Czasami samochód nie dojechał, jak na przykład na spotkanie z poetką Nikosem Chadziniolau w Kozarzewku, które odbyło się z okazji Dni Książki i Prasy. Było to w maju. Bloko 100 m przed klubem, że nie dało rady dojechać ani dojeść, można było tylko zawrócić. Ludzie stali pod klubem, niestety musieliśmy odjechać, bo jednak nie dało się tych metrów pokonać. Chadziniolau był elegancko ubrany, nikt nie wpadł na pomysł, żeby poprosić o gumki. Albo ugrzęźliśmy w błocie i mieszkający nas wydobywali. Albo były też mobilizujące konkursy klubów wiejskich. Do dziś pamiętam kluby książki i prasy w Kowalewku, Pątnowie, Dąbroszynie, w Kawnicach – zajmowały czołowe miejsca w kraju. W znacznej części dzięki pomocy DKZK i aktywności działu terenowego wiele się tam działo, co mi się wtedy podobało to

była wielka pasja i koleżeńskość. I zawsze mnóstwo śmiechu.

Po 1975. zaczęły się duże zmiany. Likwidowano kluby wiejskie, w ich miejsce powstawały GOK-i. Za czasów DKZK środki finansowe na podstawowe, czasem i siermiężne działania, były zapewnione. Później, szczególnie po likwidacji funduszu rozwoju kultury, było coraz trudniej. To niewyobrażalne, że telewizor był nieosiągalnym luksusem. Pamiętam, że zawieźliśmy kiedyś do Sieroszewic czarno-biały odbiornik ufundowany przez Wydział Kultury jako nagrodę w konkursie. We wsi odbyło wielkie święto, wielka uczta, padły chyba ze dwa świniaki. Potem wymyśliłam turniej „Gramy o telewizor kolorowy”. Rywalizacja była ogromna – zagrały o niego 4 kluby. Dyrektor Zawal powiedział mi: „Pani Jadziu, jak pani wymyśliła taką imprezę, to proszę poszukać pieniędzy”. Poszłam do Związku Młodzieży Wiejskiej, do Przedsiębiorstwa RUCH, Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni i uzyskałam środki i trzeba było jeszcze zdobyć sprzęt. Można powiedzieć, że stałam się prekursorką, jeśli chodzi o szukanie sponsorów. Dziś wszystko jest na wyciągnięcie ręki, wszystko jest możliwe i nie ma już tej pasji.

Z czasem ludzie sami zaczęli przejawiać aktywność. Prężne były Kola Gospodyń Wiejskich, Ochotnicze Straże Pożarne, wokół klubów to życie kulturalne się skupiało. Na wsiach działały zespoły teatralne, kluby piosenki. Do tej pory jako CKiS jesteśmy organizatorem takich wydarzeń w terenie. Dzięki tej początkowej roli PDK, DKZK, później WDK to życie kulturalne na wsiach mogło rozkwitnąć. Organizowaliśmy też szkolenia dla tamtych kadr. Ta praca była mi bardzo bliska, mimo że dział terenowy był postrzegany jako coś drugoplanowego. Jestem dumna, że mogłam to robić, bo tu niesamowicie dużo się działo. Zapotrzebowanie i chłonność na kulturę były zupełnie inne. Dziś trudno jest zapewnić frekwencję na spektaklach zawodowych z udziałem uznanych aktorów. Te wystawiane przez Dzidkę Witczak, „Kopciuszek”, „Królowa Śniegu”, były grane przy pełnej sali.

Z czasów WDK nie można nie wspomnieć dyrektora Kazimierza Lipińskiego. To on sprowadził festiwal dziecięcy, Derby. Jasne, że to były inne czasy i to było wtedy



coś na co się czekało. Ale te imprezy przetrwały i mocno uświadły. Antek Sierkowski, Andrzej Moś, ich instruktorska i filmowa działalność była i jest mocną stroną.

W 1988 roku zlikwidowane zostało województwo konińskie i nastąpił podział. Cała ta sytuacja była dla nas bardzo przykra, dla wielu osób wiązało się to z wypowiedzeniem. Oczywiście większość z nich została po reorganizacji zatrudniona na nowych zasadach, ale część nie wróciła już do pracy w żadnej z instytucji. Byłam w tym szczęśliwym położeniu, że mogłam wybierać pomiędzy jednym a drugim miejscem, ale zawsze identyfikowałam się z terenem i nie brałam możliwości przejścia do KDK-u. Niemniej jednak ten przełom nas podzielił. I z tego co wiem, nie był koniec.

Jako WOK przeniesiono nas na zaplecze biblioteki w Starym Koninie i tamte warunki odbieram jako uwłaczające i poniżające naszą instytucję. Po kolejnej reformie, weszliśmy do woj. wielkopolskiego. Z wizytacją przyjechał Marszałek Stefan Mikołajczak. Podobno o niczym innym przez miesiąc potem nie mówił, jak o tym, że trzeba zmienić ten stan w trybie natychmiastowym. Uważał nas za jedną z najlepszych placówek terenowych. W tym czasie zostało również zlikwidowane BWA, a jego zadania przejął WOK.

Po podziale zachowaliśmy jednak podstawową misję – mówię tu o KDK i CKiS, którą jest praca z amatorami. Działania komercyjnych nie da się już nawet uniknąć, ale przede wszystkim powinniśmy kształtować postawy wobec kultury i preferować działania edukacyjne umożliwiające spełnianie marzeń i rozwijanie talentów. Po to jesteśmy, nieważne pod jaką nazwą.

## LATA PRZEMIAN



MÓWI JADWIGA KUJAWIŃSKA, PRACOWNICA WOJEWÓDZKIEGO BIURA KULTURY W KONINIE.  
Fot. — S. Kozłowski

— Przychodzi do Konina (do swojej pracy w placówkach kultury) przed kilkunastu laty, kiedy nastąpił gwałtowny śnieg w rezerwie wiejskich klubów. Tworzyła się w wtedy podziemne gnieźno się dala, a miało to być bodźcem do gwałtownej zmiany życia kulturalnego wsi. Ale groźba została w sądzie i nie została wywołana — nawet w tak i nagła reorganizacja województwa, jak Zosia Kosińska. Nie wystarczy więc stworzenie jakiegokolwiek punktu, a raczej, bezinteresowno, gazetami i kawałki. I nie o idealnych takich placówkach chodzi...

Wielką kłopotliwość nie miała tak bogatą tradycję życia kulturalnego, jak to się w niektórych częściach kraju zdarza. Jednak i tam nie było to, co w naszym kraju. Wtedy, kiedy jeszcze nie było, to w ramach strażackiej drużyny — tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami wiejskimi — sądzę, że silnie wpływały na rozwój życia kulturalnego wsi. Właśnie w tym czasie, kiedy w Koninie, w ramach strażackiej drużyny, tworzyła się wtedy kłopotliwość, a wsiakim klubem. Kluby starały się więc przede wszystkim funkcję organizacyjną i inspirowania. Na i okazało się, że trudno to zrobić: zbyt trudne jest na siłę, wsiakim, rezerwowym klubem. Stąd naturalnym procesem, który już pamiętam z własnej pracy w Koninie — było tworzenie ośrodków kultury o zasięgu gminnym — tak zwany GOK-ów. One — nie rezygnując z współpracy i ze współdziałania z klubami



## Grzegorz Buciak pracownik DKZK, WDK i KDK, artysta rzeźbiarz

Szukałem pracy, ale z powodu mojej niepełnosprawności nikt nie chciał mnie zatrudnić. Był rok 1974. Przez zabawny zbieg okoliczności trafiłem do dyrektora Konrada Zawala i znalazłem się w dziale plastyki, któremu szefował Eugeniusz Siwek. Dzięki niemu wystawiali się u nas ludzie o znaczących nazwiskach. Dział wykonywał też propagandowe plansze, radosną twórczość na 22 lipca, na 1 maja, Lenin wiecznie żywy i tym podobne dyrdymały. Pracowało tam dużo fajnych ludzi.

Był też Tadek Sikora, zajmujący się teatrem. Postać z charyzmą, wokół której zebrała się inaczej myśląca młodzież. Zrobili spektakl „Bursa – próba poetyckiej biografii”. Sekretarzem propagandy w Komitecie Wojewódzkim była Zofia Zamojska, której syn, Janek, znalazł się wśród tych młodych ludzi. Związał się w l. 80. z Teatrem Ósmego Dnia w Poznaniu. Zrobiłem scenografię do tego ich przedstawienia. Elementem był czerwony napis: „Niech żyje”, jakby skonstruowany ze słupa milowego. Pod nim leżał bity i kopany przez oficera UB czy SB człowiek. Zrobiłem wózek dziecięcy oklejony ozdobami trumiennymi – w założeniu moim: rodzimy się w czymś, co jest już martwe, bez możliwości manewru. Ciągnięty był na czarnej szarfitie przez urzędnika stanu cywilnego, ubranego w górę od fraka, w harcerskie spodnie, żeby zaakcentować, że ta władza to taka partyzantka, podchody, że nie do końca wszystko jest jasne i klarowne. Urzędnik miał też na sobie fragment łańcucha od krowy, zamiast łańcucha z godłem państwowym. Cenzura została zrobiona w konia, Sikora przedłożył ogólny zarys, z którego wynikało, że np. napis będzie kolorowy... Ludzie z komitetu byli zniszczeni. Odbyła się tylko premiera, drugi raz spektakl poszedł już bardzo okrojony.

Mnóstwo przewinęło się przez dom kultury ludzi o barwnych życiorysach. To było miejsce, które ich ogniskowało. Np. śp. Daniel Szalapski, to nie był normalny palacz co. Jak miał natchnienie, recytował poezję i to własną. Robił rzeźby i tym mnie zaraził. Wcześniej, ze śp. Przemkiem Malarzem robiłem metaloplastykę, malowałem obrazy. Rzeźba wciągnęła mnie jednak głębiej i trzyma do dziś. Schodziłem do Daniela do kotłowni, już jej nie ma. Podpatrywałem. Kopiowałem jego ruchy, sposób prowadzenia czy ostrzenia narzędzia. Bo trzeba co nieco wiedzieć, żeby naostrzyć szczyrory czy dłuto. Pierwsze rzeźby były nieudolne. Potem zmieniały się, tak jak ja się zmieniałem.

Śp. Marian Białas. Montował, demontował, gruntował plansze. Mógł iść do huty, ale on by się tam z nikim nie dogadał, bo to był człowiek z własną filozofią. Nie przelewał myśli na papier, ani nigdzie indziej. Ale pasował do nas jak ulał.

Śp. Mariusz Rosiak. Robiliśmy wspólnie filmik na jakiś przegląd. Napisalem scenariusz, on wystąpił. Potem wyjechał z miasta, zajął się profesjonalnie krytyką sztuki, miał własną galerię. Był pracownikiem BWA, z nami pracował po koleżeńsku, po sąsiedzku. Miał specyficzny sposób mówienia, trochę preintelektualizowany. Przynosił teksty do „Pegaza”, który był dodatkiem do lokalnego tygodnika. Fajnie pisał o sztuce, chociaż niełatwym językiem, był zrozumiały. W „Przeglądzie Konińskim” wspólnie z Krzysiem Dobreckim redagowaliśmy komiks o Koninie, chodziło to jakieś pół roku. Kto wie, czy stan wojenny tego nie skończył?

Pamiętam też panią Kolińską. Sprzątała w domu kultury w czasie, gdy miałem pracownię rzeźby i metaloplastyki. Dawałem jej odrobinkę kwasu siarkowego rozmieszanego z wodą, żeby się nie poparzyła i ona myła tym muszle klozetowe. Byliśmy więc z panią Kolińską prekursorami domostosu...



Śp. Druh Szklarkowski – bardzo ciekawa postać, kolorowa. Facet niesamowity, pasjonat, oddany fotografii całym sercem. Miał duży zbiór aparatów, od bardzo starych po nowoczesne. Dzięki niemu spotkałem się z Polaroidem i z natychmiastową fotografią. To było szokujące, bo wyskoczył sobie taki kawałek papieru, który po 3 minutach zamieniał się w zdjęcie. To było prawie jak iluzja. Potem chodziłem do niego jako uczestnik i dzięki niemu też skończyłem kurs instruktorski z fotografii. Był chodzącą encyklopedią. O fotografii wiedział wszystko – i od strony technicznej, chemicznej. Pierwszy pokazał mi, że nie muszę mieć aparatu fotograficznego, żeby zrobić zdjęcie. Wystarczy puszką po kawie INKA. I zrobiłem tą puszką zdjęcie. Uczył wykorzystania zasad optyki, które odkrył Leonardo da Vinci. Kiedyś wymyślił, że pojedzie do Warszawy i stanie w miejscu, z którego Canaletto malował fragment stolicy, i robi tam zdjęcie. Miał przed sobą reprodukcję obrazu mistrza i to, co miał na matówce pokrywało się z nim. Udowodnił, że artysta musiał stać dokładnie w tym, a nie innym miejscu.

Po 5 latach odszedłem z domu kultury do klubu spółdzielczości pracy MOKO w Starym Koninie. Kiedy klubik się rozpadł, znalazłem pracę w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej. Dyrektorował tam pan Sobczak, znany ateista, przewodniczący Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej. Atmosfera zrobiła się dość nieznośna. Przez przypadek, wpadłem na Kazia Lipińskiego, który był wtedy dyrektorem WDK-u, spytałem, czy nie chciałby uruchomić pracowni rzeźby. W stanie wojennym znalazło tu schronienie jeszcze paru kolegów, m.in. Andrzej Moś, Andrzej Plutowski. I jest fajna anegdota z tym związana. Lipiński, kiedy mnie zatrudniał, poszedł po panią kadrową, którą była wtedy Teresa Jasiocka, która już dobrze znała mnie i moje poglądy. „Tereniu, trzeba przygotować umowę dla Grzesia. Będzie prowadził pracownię rzeźby”. Skwitowała to jednym

zdaniem: „Panie dyrektorze! Co pan! Przytułek pan robi z domu kultury?” Trzasnęła drzwiami i wyszła. Pracowałem już w innym dziale i we własnej pracowni – rzeźby i metaloplastyki. Tu zresztą był kręcony dokument Antka Sienkowskiego „Jaj fajnie jest!”, którego stałem się bohaterem. Pracownia sąsiadowała z działem fotografii i filmu i salą taneczną, w której na okrągło leciała „Lambada”...

Na metaloplastykę przychodzili do rośli. Trzeba było wypukać jakiś motyw mloteczkim w ocynkowanej blasze 0,3, 0,1 mm, nanieść rysunek. Jeśli zrobiło się to źle, arkusz był do wyrzucenia. Wcześniej się ją ogrzewało. W czasie kucia, twardniała. Trawiło się prace w kwasie siarkowym. Jeśli chciało się osiągnąć ciemniejszy kolor, trzeba było wytrawić go w siarczku potasu. Powstawał nalot, który ścierało się za pomocą „Skrzata”. To była parakowalska robota. Na rzeźbę wielu chętnych nie było, to dość ciężka dziedzina. Ludzie przychodzili na rysunek, malarstwo, na tkaninę artystyczną, którą prowadziły Ania Gruchalska i Zosia Staliś. Moja pracownia istniała przez jakiś czas, potem zmarło to śmiercią naturalną ze względu na brak zainteresowania.

Sam jednak rzeźbię do teraz. Bierze się kłoczek drzewa, a tu się okazuje, że pod spodem siedzi ukryta jakaś fajna figurka, i zamienia w coś, co może sobie być 100 lat, 150, a w dobrych warunkach trochę dłużej. To niesamowite uczucie.



Teatr Opad – próba teatralna



Pracownia tkaniny artystycznej  
(od prawej: Zofia Staliś)



## Nowy dom kultury dla nowego miasta

ciąg dalszy rozmowy z dyrektorem Konradem Zawalem, ze str. 1



Konrad Zawal

Wymyślił takie uzasadnienie, bo były potrzebne. Po nakładach, które zostały przeznaczone na budowę, nikt by nam więcej środków nie przyznał. Taki argument okazał się skuteczny. Otrzymałmy wsparcie władz miejscowych, powiatowych, wojewódzkich, ministerialnych, które wtedy było niezbędne, i decyzja w sprawie dobudowy była pozytywna. Dzięki temu stworzył się też taras nad Dworcową, można było wystawić stoliki. Zrobić imprezę. To tak nie wyglądało. Był dom kultury na górze, który wyglądał jak nieskończony. Dobudowaliśmy też schody.

**W nowym Powiatowym Domu Kultury pracowało 14 ludzi, w 1973 już 34. Kto stanowił załogę?**

Było boisko, więc trzeba było znaleźć drużynę. PDK w Starym Koninie był dość istotnie zaangażowany w działalność instrukcyjno-metodyczną w powiecie. W momencie, gdy otworzył się nowy dom kultury działalność upowszechnieniowa została skierowana również do miasta. Przyrost kadry nie był więc wymuszony przez jakieś decyzje, był odpowiedzią na potrzeby społeczeństwa, które oczekiwało tego typu działań. Każdemu przyjmowanemu instruktorowi organizowaliśmy pracownię, trzeba było wyposażyć ją do prowadzenia zajęć, i zapewnić mu środki na realizację jego planów. W ten sposób stopniowo powstawały i rozwijały się zespoły teatralne, grupy recytatorskie, muzyczne, taneczne, działały pracownie plastyczne, fotograficzne, filmowe.

W momencie, kiedy udało się pozyskać sponsorów, była możliwość, by zaoferować pracę specjalistom. Ludzie przemieszczali się po Polsce, nie wszędzie było gdzie mieszkać i prowadzić swoją działalność. Konin był popularny. Udało się rozpropagować ten wysiłek inwestycyjny w prasie, było mnóstwo audycji w telewizji. Nie staraliśmy się o nich szczególnie. Zdarzały się sytuacje, że jeśli Staszek Fiałkowski potrzebował aranż, to stać nas było na to, by ściągnąć kogoś z Warszawy zawodowo przygotowanego. No i potem też nas promował, jak zrobił coś z big bandem czy z Truwerami w Koninie, to potem był naszym rzecznikiem w kraju, czuł się zobowiązany coś dla nas zrobić. Rozgłos

przynosiły nam przeglądy recytatorskie, teatralne, nawet o zasięgu ogólnopolskim. Ludzie się spotykali. W taki sposób trafił tu pan Żółciak od teatru, a za nim przyszedł pan Sikora. zostawał – albo na stałe albo współpracował. To był proces. Działo się to stopniowo. Ci, którzy u nas pracowali, też wypowiadali się o nas dobrze.

Korzystaliśmy też ze swoich znajomości, np. Szymon Pawlicki, który był aktorem Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, w drodze do Gdańska zostawał nam swoje pomysły, które po jakimś czasie realizowaliśmy. Owocowało to pozyskaniem kolejnych kontaktów. Dom kultury był otwarty. Przyjmowaliśmy właściwie wszystkie pomysły, jeśli chwilowo nie dało się ich zrealizować czekały, jeśli były problemy. Analizowaliśmy, czy są realne na

naszym terenie i w tej chwili. Ale z niczego nie rezygnowaliśmy, bo przecież byliśmy po to, by problemy pokonywać. Udane prezentacje teatralne, muzyczne czy plastyczne zjednywały nam odbiorców czy zakłady pracy jak kopalnia czy huta. Mogliśmy coś dla nich zrobić, bo dom kultury zawsze miał zawsze różne możliwości czy w zakresie transportu, sprzętu czy ludzi. Byliśmy postrzegani jako instytucja potrzebna, zasługująca na wsparcie, która powinna się rozwijać. Udało się to dzięki wspaniałym pracownikom, atmosferze, którą stworzyliśmy, zrozumieniu władzy, że musimy mieć pewną wolność i sfery, w których możemy samodzielnie działać. Myślę, że się szczęśliwie złożyło, bo w innych powiatach tego akurat nie było.

**Dlaczego doprowadził Pan do zmiany nazwy domu kultury?**

Jeśli pamiętam, to było wtedy około 300 powiatów w kraju i standardowo w każdym był dom kultury czy poradnia metodyczna. Konin w tym momencie nie tylko z racji obiektu, ale i kadry oraz osiągnięć, znacznie już odbiegał od poziomu powiatowego. I w staraniach o środki, bo bez nich trudno by było mówić o rozwoju, nazwa też nie była bez znaczenia. Byliśmy domem kultury w istotnym dla gospodarki miejscu, który realizował zadania znacznie wykraczając poza dawne ramy. I w końcu postanowiliśmy zmienić nazwę. Było trochę przeciwników. Ale w końcu oswojono się i z nową nazwą, i z logo firmy, która już znacznie wcześniej niż powstało województwo, działała na terenie powiatu czy województwa. W poszczególnych dziedzinach byliśmy znani na arenie krajowej. Nie było obiekcji, żeby się gdzieś się pokazać. Występowaliśmy na festiwalach w Zielonej Górze, w Kołobrzegu, na „Złotej Tarce, 6-7 osób w tym czasie dostało się do wyższych szkół teatralnych. Byli muzycy, teatry, recytatorzy znani dzięki konkursom, w których zdobywali nagrody. Działania teatralne Zbyszka Żółciaka, Tadka Sikory, Zdzisławy Witczak były wspierane z zewnątrz. Przyjeżdżała do nas dyrektor Teatru w Kaliszu, Izabela Cywińska. Negocjowaliśmy z nią otwarcie w Koninie małej sceny kaliskiej. To się nie udało, ale świadczy tylko o tym, że nie siedzieliśmy i nie czekaliśmy aż ktoś

nam coś każe, tylko mieliśmy marzenia, poszukiwaliśmy możliwości, żeby się realizować.

**Jakiego pokroju byli Ci ludzie. Jak Pan ocenia instruktorów jako twórców?**

Miałem szczęście do współpracy z indywidualnościami. Każdy z nich miał swoje umiejętności i swoje za skórą. Nie mieliśmy tu żadnych regulaminów, które zmuszały do przyjscia na 8 rano. Nie mogłem powiedzieć Fiałkowskiemu, któremu coś przyszło do głowy o 17:30 i pracował całą noc, żeby rano był w pracy. Często odbywały się rozmowy mające wprowadzać większy ład i porządek. Były zlecane zadania. Ale generalnie ludzie mieli swobodę i ich pasja mogła się rozwijać. Nie mogłem ich traktować jak ludzi w urzędzie. Dzięki temu powstawało coś, co nie mogło zostać stworzone w godzinach pracy. Kadra była na tyle kompetentna, że jak przyjeżdżali ludzie z Warszawy – z teatru, ministerstwa, muzycy, inni – mieli partnerów do rozmów. Staralem się nie ingerować w sprawy artystyczne. Staralem się zapewnić warunki i bezpieczeństwo.

**Ale trochę kłopotu Panu narobili swoją niesfornością?**

Tacy poukładani zazwyczaj niewiele robią. Ci którzy mieli kłopoty, byli najczęściej interesującymi pracownikami. To były inne lata, inne czasy. Np. problem noszenia krzyża. Jeden z naszych muzyków nosił taki dość duży. Więc były takie dyskusje: „Słuchaj stary, może trochę mniejszy niech będzie, niech Ci nikt nie przeszkadza”. Podejmowaliśmy rozmowy, żeby nie manifestować spraw, które były trudne do przejścia dla ludzi, którzy dawali na działalność pieniądze. W teatrze też się tak zdarzało. Niektóre rekwizyty były niemiłe widziane, bo dla niektórych ważny był tytuł gazety czy kolor tkaniny, która leżała na podłodze. Trzeba było mieć odwagę przeciwstawić się temu, powiedzieć, że to nie jest najważniejsze. Bez przerwy po obu stronach toczyły się takie dyskusje, które doprowadzały do konsensusu, i nikomu się nic nie stało, łącznie ze mną.

Nie był to zespół jednolity, nie działaliśmy w teatrze, jednokierunkowo. Były tu różne dziedziny, które trzeba było połączyć, różni ludzie. Ale to było inspirujące.

Zaczynając od pana Szklarkowskiego,

który zajmował się fotografią. Nie było drugiego takiego człowieka w kraju, który by z taką pasją gromadził materiały eksponaty i z taką pasją zajmował się upowszechnieniem fotografii. Setki ludzi przewinęło się przez jego gabinet. Ja też uczyłem się u niego fotografii, jeszcze w starym PDK. Mieliśmy ambicje, by stworzyć muzeum, miał on zbiór kilkudziesięciu aparatów z różnych epok. Od pierwszych modeli. Dzięki niemu fotografia w konińskim była czymś. Jeśli ktoś się znał na tym, to wiedział, że wystawa u nas będzie wydarzeniem. Czy Antek Sierkowski, który był kinooperatorem, ale jednocześnie pasjonatem kamery. Czy pan Fórmanek, który całe lata dokumentował rozwój miasta, był instruktorem, uczył u nas młodzież fotografii. Mieliśmy szczęście prawie w każdej dziedzinie znaleźć kogoś, kto przyciągał uczestników i robił rzeczy niepowtarzalne.

Kino „Centrum” to też nie było standardowe kino. Miałem wpływ na dobór repertuaru, co miesiąc jeździłem do Poznania wybierać tytuły. Autentycznie upowszechnialiśmy film. Z Warszawy woziliśmy kopie pociągami i następnego dnia film był w Koninie. W Poznaniu go nie wyświetlali, a u nas tak. Czy Dyskusyjny Klub Filmowy, taniec, itd. Przecież zespoły, które uczestniczą w dziś w festiwalu – wtedy to się zaczynało. Było 3 instruktorów, którzy z dziećmi ćwiczyli. Już się na zewnątrz denerwowali, że co z tego, czemu nie występują. A potem był problem, dzieci trzeba było ubrać, żeby mogły wystąpić, więc zatrudniłmy krawcową, panią Witczakową, bardzo wspaniałą kobietę, której przynieśliśmy wzory i uszyła stroje. Kupiliśmy buty i dodatki i jak dzieciaki po 3 latach się pokazały to był szok!

Muzykę prowadził Staszek Fiałkowski, muzyk, który mieszka w Warszawie, dyryguje, komponuje, tworzy orkiestry. Jak ktoś sobie dzisiaj przypomni, jak wyglądały kiedyś mikrofon i gitara, to była siermięga do potęgi. Nie można było tego muzycznego kunsztu wykazać. A myśmy mieli kamerę pogłosową i mikrofon SHUR, czego poważne orkiestry nie posiadały. Ale sprawa była taka: był pasjonat Fiałkowski i był ktoś, kto postarał się o bazę dla tego muzyka. Kupiliśmy organy Hammonda, aparaturę nagłaśniającą, najlepszą – Poznań nie miał takiego, pożyczali od nas już od 1972. To,



Spektakl w reżyserii Marii Zdzisławy Witczak, z muzyką Stanisława Fiałkowskiego (widoczny w fosie dla orkiestry) – „Królowa Śniegu”



co muzyk miał w głowie dawało się potem szybko przełożyć na koncert. Truwerzy to był zespół 7-8 osób, Big Band Konin około 20. Truwerzy stworzyli taką atmosferę, że chcieli grać z nimi inni muzycy, z kopalni, z hut, z innych orkiestr, nawet z Kutna, ze szkoły muzycznej. Stwierdzili, że tu się da zagrać. Dzięki Staszce to głównie wszystko. Bo dyrektor co mógł załatwić? Kontakty, jakąś pomoc, w uczestnictwie, w festiwalu, trzeba było to sprzedać, bo marketing jakiś był też potrzebny.

Do dyrektora zadzwonić, zwolnić na festiwal, na koncert pracownika – zakłady pracy też nam wierzyły, że Ci ludzie nie marnują czasu. Potem pomagaliśmy hucie, dawaliśmy informacje do radiowęzła, o kinie, o imprezach. Były takie sytuacje, że jakiś dyrektor wyjechał, nie było komu tej decyzji podjąć, a mieliśmy muzyka stamtąd. Więc prosiłem, że jak trzeba to odrobuję, jak trzeba, to zapłacę. I jechał z nami. To nie był jeden przypadek. W big bandzie grały 4 osoby z domu kultury, reszta to byli ludzie z zewnątrz. Jak jechaliśmy na „Złotą Tarkę” to wszyscy się dziwili, że w takim stylu to jest grane. Najpierw się podśmiewali, że „strażacy z Konina przyjechali...”, a potem oni zdobyli srebro, a Ibis-Wróblewski pisał artykuł na pół strony...

Każdy z instruktorów, z pracowników, wniósł swój wkład. Dział imprez informował społeczeństwo o tym, co się dzieje. Wydawaliśmy Koniński Informator Kulturalny. To była książeczka potrzebna ludziom i bardzo oczekiwana, bo nie było takiej informacji jak teraz. Prezentowała repertuar na kolejny miesiąc. Niewiele miast w Polsce takie coś miało, a powiatowe wcale. Dom Kultury Zagłębia Konińskiego mógł to robić. Trudno było wydać coś takiego w tamtych czasach. Zajmował się tym zespół, nie było Internetu, komputera. Trzeba było zebrać informacje, jechać do drukarni. Cały system musiał być. W tych czasach nie było bezpośredniego połączenia do Poznania. Ledwo działał jeden program telewizji czarno-białej. Co chwile zmieniali się ośrodki nadawcze i za każdym razem trzeba było założyć inną antenę. Inne czasy, inne oczekiwania. Jednak społeczeństwo było bardziej głodne kultury. Pani Rucińska, Michał Ciesielski, Basia Malarz – oni zabiegali o to, by przyjechał artysta i miał widownię. Organizowaliśmy ciekawe wydarzenia.

Był salon wystawowy. To też nie było typowe w Polsce powiatowej. Prezentowaliśmy rzeczy, które do typowego PDK-u nigdy by nie trafiły. Szajna, który go otwierał był zachwycony. Odbłyło się tu potem szereg innych wystaw. Tkanina, malarstwo. Była to placówka dająca możliwości ludziom plastyki, która miała wielu oglądających. Do działalności była też wykorzystywana sala sportowa. Od 1972 organizowaliśmy w niej bale sylwestrowe, koncerty orkiestr.

Znakomicie pracował dział instrukcyjno-metodyczny – pani Kujawińska, Zdulska, Radziemska. Do dyspozycji w terenie miały naszych fachowców, nie trzeba ich było wynajmować, by realizować zadania. Zabierało się „Nyską” zespoły muzyczne, teatralne. Występowali oni w świetlicach, klubach wiejskich, edukowali mieszkańców powiatu.

Trudno opisać, co tu się działo... Marian Kubera z telewizji był naszym przyjacielem. Józef Lewiński, Włodek Ziętański, Maciej Chybowski – ludzie telewizji, filmu,

którzy zawsze w Koninie dostrzegali coś ciekawego. Przyjeżdżali do DKZK, żeby przy okazji jakiś materiał na odkrywcę zrobić. Mieliśmy bardzo dobre kontakty z departamentem MKiDN, z dyrektorem Sandeckim, który był naszym przyjacielem. I wiele rzeczy miało przyzwolenie, dlatego, że ludzie nam sprzyjali, pokładając w nas wiarę, że wiemy co robimy. Konin był promowany dzięki kulturze.

#### **I dom kultury miał własny autobus?**

Po starym PDK-u odziedziczyliśmy stare auto i ciągle brakowało nam środka transportu. Dzięki kontaktom z Zarządzeniem Głównym Transportowców i Drogowców, którzy patronowali Przeglądowi Teatrów i Poezji, dostaliśmy „Nysę” eksportową, na owe czasy był to mercedes. Ale na big band była za mała. Poprosiłem dyrektora PKS-u, że jak będą wycofywać jakiś samochód, żeby o nas pamiętał. No i zadzwonił kiedyś, żeby przyjechać. Poprosił kierowcę: „Panie Mikołajczyk, proszę oddać kluczyki”. „A co się stało?” „Nic się nie stało, przebieg się skończył, proszę oddać kluczyki, samochód jest sprzedawany”. „Nie panie dyrektorze, ja muszę...” „Ja wiem, co musisz...” Bo jak takie samochody były wycofywane, to kierowcy zabierali z nich co lepsze części... A ja mówię do niego: „Panie Mikołajczyk, może pan przejdzie razem z samochodem?” „A gdzie?” „Do domu kultury” „No, a co tam będzie?”. Mówię do niego: „Dziewczyny, wyjazdy, różne takie przyjemności...” No i ten pan Mikołajczyk, nazywany później przez nas „Olek”, przeszedł z tym pojazdem. Wyremontowaliśmy, wymalowaliśmy go i jako jeden z nielicznych domów kultury mieliśmy własny autobus, na przyzwoitym poziomie, bo był zagranicą, w Niemczech, w Czechach. Nigdy nie odmówił nam posłuszeństwa. Zespoły miały jak przewozić stroje, gdzie się przebrać. A pan Olek był takim samym pracownikiem jak wszyscy. Autobus i aparatura nagłaśniająca były niezbędnymi narzędziami, które nas przenosiły w teren, zagranicę. Pozwalały nas promować.

#### **Mimo tylu sukcesów DKZK został pan w końcu zwolniony...**

W 1975 roku powstało województwo. Myślałem, że będzie nam jeszcze łatwiej z racji pozycji DKZK, że władze będą chciały mieć kulturę w pierwszej lidze. Niestety tak się nie stało. Próbowano nas za to przekonywać do spraw, co do których ja sam nie miałem przekonania. Jedną z nich były pamiętne dożynki w Rychwale, w roku 1976. W specjalnym liście towarzysz Gie-



**Truwerzy**

rek odradzał organizowanie takich imprez, bo były kiepskie plony, atmosfera była nie taka i te dożynki Komitet Centralny uważał za niewskazane. Mnie to było na rękę, bo myśmy nie mieli pieniędzy, żeby wozić codziennie do Rychwala na próby 400-500 osób. No i miałem odwagę powiedzieć, że jestem przeciwny. By ten apel Gierka obejść, wymyślono, że to nie będą dożynki, tylko Święto Młodości, co było tym samym – pod innym szyldem! Patronował tej imprezie Związek Młodzieży Wiejskiej, organizatorów było chyba 10. Telekomunikacja, Orkiestra Dęta Kopalni, dom kultury, gminy, powiat – cały sztab ludzi, my mieliśmy nadzór nad częścią artystyczną. No i wydarzenie popsuł spłot okoliczności. Np. był pokaz skoków spadochronowych, nad nami leciał samolot, i jeden skoczek się nie wyczepił. Impreza się zaczęła, skoczek był

w powietrzu, a ludzie zamiast patrzeć na władze na trybunach, patrzyli: spadnie czy nie spadnie? Orkiestra zamiast „Mazurka Dąbrowskiego” zagrała „Międzynarodówkę”. Nagłośnienie było tak ustawione, że wiatr był w przeciwną stronę i nic nie było słychać, to akurat telekomunikacja robiła, był tam jej samochód. Cały czas mówiłem, żeby wygrodzić teren dla występów zespołów, czego nie zrobiono, więc w tłumie ten plac się zmniejszył i mieliśmy go o połowę za mało niż trzeba.

Występ, który prowadził pan Józef Rosiński nie wyglądał tak jakbyśmy chcieli, czyli dobrze. Wieniec dożynkowy, ten najważniejszy, gdzie się zawieruszył i razem z innymi nie został wniesiony na płytę boiska... Autorstwo tych wszystkich wpadek przypisano mnie, i tak zostałem odwołany ze stanowiska dyrektora domu kultury...

**Dziękujemy za rozmowę (AD, AM).**



**Dyrektor domu kultury, Konrad Zawal (z lewej) w serdecznej rozmowie z przyjacielem konińskiej placówki, Włodzimierzem Sandeckim (z prawej), ówczesnym dyrektorem Departamentu MKiDN**

Pierwszym szefem Powiatowego Domu Kultury przy ul. Armii Czerwonej (obecnie budynek PSM I i II Stopnia im. I. Paderewskiego) był Stanisław Leń (od 1958). Po nim placówce szefowali Szymon Pawlicki, p. Rajewski, Stanisław Sroczyński i Przemysław Malarz, który rozpoczął historię domu kultury w nowym gmachu przy pl. PZPR 1 w nowej części miasta. Oredownikami nowej inwestycji byli m.in. Leń, Pawlicki oraz Jerzy Ziółkowski sekretarz, późn. wiceprzewodniczący Powiatowej Rady Narodowej (PZPR), Ignacy Kaszuba sekretarz, wiceprzewodniczący PRN (ZSL), Jan Janus przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, Zdzisław Szklarkowski przew. PRN oraz Stefan Weber kierownik WK PRN.



## **Maria Zdzisława Witczak** instruktor teatralny klasy „S”, pracownik PDK, DKZK, WDK, WOKiWA, późn. CKiS w Koninie

Kiedy przeprowadziłam się do Konina w lutym 1970 roku, dom kultury był jeszcze w budowie. Pierwszą propozycję pracy otrzymałam od ówczesnego kierownika wydziału, Izidora Garbaciaka. Miał to być Rejonowy Ośrodek Kultury w Kazimierzu Biskupim. Weszłam do mojego nowego miejsca pracy. Duża salka TV. Nowe fotele, dywan. Młodzież na firankach wieszła fotografie. Chciała zorganizować wystawę. Odpowiedziałam im, że lepiej będzie powiesić je na płycie obitej zielonym sukmem, na ścianie. Zrobiłam wystroj. Wykonaliśmy świeczniki ze słomy i drutu. Kazałam im przynieść płyty, w pobliskiej kawiarni zdobyłam butelkę szampa. Była taka dwupoziomowa obok dużej sali widowiskowej. Wzięliśmy stamtąd literatki.

Gdy przyjechała delegacja na wieczorną prezentację. Garbaciak oniemiał: „Gdzie pani była?” „Robiłam wystawę”. Bili mi brawo. W poniedziałek przyszła młodzież i dorośli. Pełna sala. Ustaliliśmy plan działania. Poniedziałek był literacki, rozwiązywaliśmy np. własnoręcznie wykonane krzyżówki, wtorek – muzyczny, słuchaliśmy muzyki, wybieraliśmy potem utwór miesiąca, środa – była sportowa, ale tu mieliśmy ambaras, bo strażacy oglądali filmy w sali kinowej. Nie chcieli się zgodzić na zmianę terminu, więc poprosiłam młodych ludzi, by coś dobrego zrobili dla straży. Wystroiliśmy im salę. Oni w zamian kupowali nam później sprzęt, wyposażenie. Włączyły się w te nasze działania też Kółka Rolnicze, Kolo Gospodyń Wiejskich,

klerycy z miejscowego seminarium. W czwartek oglądaliśmy filmy, w piątek odbywały się zajęcia plastyczne, a w sobotę przedstawienia lub zabawa.

To była prawdziwa praca u podstaw. Walczyłam z dziećmi, żeby na przykład ściągali czapki, siedząc w kawiarni...

Dopiero w listopadzie przeniosłam się do Konina, do nowego już domu kultury. Na

owe czasy była imponująca budowla. Miejsce tętniło życiem od samego początku od godz. 17-22. Bardzo dużo ludzi tu przychodziło, codziennie. Nie tylko na imprezy. Byłam wtedy kierownikiem działu wiedzy. Organizowałam quizy, zgaduj-zgadule, etiudy, konkursy, młodzież spotykała się z pisarzami, poetami. Były to wieczory autorskie, spotkania z ciekawymi ludźmi, małe formy teatralne. Dwa razy w tygodniu spotykał się teatr dziecięcy i młodzieżowy. Pierwszy szef placówki, Przemysław Malarz śp. miał ogromną klasę, był artystą, plastykiem, zawsze wokół niego było mnóstwo osób. Nigdy nie wracał do swojej przeszłości – chociaż, wiem to ze słyszenia, był więźniem Auschwitz. Zawsze serdeczny, otwarty. Bardzo ciepło wspominam też jego żonę, Basię Malarzową, która wspólnie z szefem działała plastycznie – Eugeniuszem Siwkim, organizowała później BWA. Siwek też był postacią w tym środowisku, znawcą sztuki, wykladał na ASP w Poznaniu. Miło wspominałam współpracę ze Zbyskiem Żółciakiem, polonistą. On tak jak ja zajmował się edukacją teatralną. Przygotowaliśmy razem przedstawienie, które otrzymało „Złoty Lemiesz” na festiwalu teatralnym w Rzeszowie i w nagrodę zostało pokazane w Pałacu Kultury w Poznaniu (obecnie CK „Zamek” – przyp. red.). On później zajął się młodzieżą, ja pracowałam z dziećmi. Byliśmy bardzo dobrymi kolegami. Wywędrował z Konina, skończył reżyserię. Z tego, co wiem został nawet dyrektorem jednego z teatrów na Wybrzeżu, zmienił nazwisko. Pamiętam Józia Sutylę, Stasia Fiałkowskiego, który napisał cudną muzykę ilustracyjną do mojego i Zbyszka Żółciaka spektaklu – „Królowa Śniegu”. Niestety nie zachowała się. Daliśmy 12 przedstawień dla zakładów pracy. Dom kultury zarabiał duże pieniądze. Nasza wspólna sztuka była rentowna! Zresztą zrobiliśmy we troje jeszcze kilka fajnych rzeczy. Pamiętam też przez

mgłę Włodzimierza Habela, artystę-plastyka. Bardzo krótko tu był, to był epizod.

W 1982 roku powstał półprofesjonalny Teatr „W drodze”, najpierw Teatr Baśni „Kaczątka”. Zaproponowałam kryteria oceny. Przeprowadziliśmy nabór wspólnie z młodym instruktorem teatralnym, Tomkiem Nowakiem. Pod uwagę braliśmy emisję, przedstawiane teksty, interpretację. Kandydaci musieli zaprezentować etiudę. Sprawdzaliśmy, czy w danej osobie drzemie tzw. dusza artystyczna, była to raczej ocena potencjału. Daliśmy ogłoszenie do gazety, zjawilo się dwadzieścia kilka osób, z których wybraliśmy 8. Pierwszym spektaklem, do którego napisałam dla nich scenariusz były „Gwiazdkowe bajki”. Dalej adeptów sztuki teatralnej prowadził już Tomasz Nowak, a ja wróciłam do działu instrukcyjno-metodycznego i zajęłam się edukacją. Wiedziałam, że oni sobie poradzą, a ja chciałam zrobić coś dla terenu. Potem mieszkalam przez jakiś czas w Wenezueli, a po powrocie pracowałam w „Oskardzie”, u Jagody Zdulskiej, ale znów wróciłam do terenu.

W Klubach Książki i Prasy, w Klubach Rolnika, organizowaliśmy z młodzieżą tzw. teatry przy kawie. Były to comiesięczne przeglądy, recytacja, teatry dziecięce i młodzieżowe. Zbierali się bardzo powoli, budowaliśmy repertuar, warsztat, uczyliśmy się własnego odniesienia do tekstu, poznawaliśmy możliwości grupy – nie lekceważąc żadnego szczegółu. Na zakończenie roku odbywały się warsztaty. Przygotowane przedstawienia były pokazywane i omawiane pod różnymi względami. Z naszych działań wynikało potem coś więcej – skupiający przez 20 lat zespół Klub Amatora Teatru „Melpomena” (najpierw w WDK, późn. WOK, CKiS - przyp. red.), a po nim prezentacje „Feniksa”, które od 5 lat organizujemy już nie w terenie, lecz w KDK-u, wspólnie z instruktorem teatralną Elżbietą Gierasimow-Zakowany i kierownik działu artystycznego placówki – Małgosią Kazus.



**Jadwiga Kujawińska, Maria Zdzisława Witczak i Zofia Radziemska**



## **Elżbieta Gierasimow-Zakowany** aktorka Teatru „W drodze” WDK, instruktor teatru i recytacji w WDK i KDK

Moja pasja zaczęła się w teatrze kukielkowym, w klubie gminnym. Organizowała go Maria Witczak, która do dziś jest moją teatralną matką. Później, kiedy podjęłam pracę i myślałam, że moja przygoda z teatrem się zakończyła, koleżanka poinformowała mnie o naborze do grupy teatralnej w Koninie. Nie bardzo chciałam, ale namówiła mnie, żebym spróbowała. Przygotowałam wiersz „Wokoło łodzi bocian chodzi”, zgłosiłam się na przesłuchania i zostałam przyjęta do Teatru Baśni „Kaczątka”, późn. „W drodze”, który grał dla dzieci.

Przed premierą spotykaliśmy się o różnych porach. Przedstawienia grałyśmy po 50 razy. Najpierw dla miasta, potem dla terenu. Do zielonego „Robura” pakowaliśmy podrózną scenografię, bo była też stacjonarna, wsiadaliśmy wszyscy i jechali. Kiedyś wchodzimy do takiej remizy, jest zima. W sali po prostu mróz. Stopniem minus, ile. Myślmy, ile. Myślmy, co tu robimy. Nawet kostiumów nie założymy. Ale pani Zosia Kotlewska, która z nami jeździła, cudowna osoba, która szyla nam kostiumy, była naszą garderobianą, mówi: „Słuchaj-

cie tutaj jest taki piec metalowy, napalimy i będzie ciepło”. Dzieci były wieszane na ten spektakl, z różnych miejscowości pozbierrane. Na przyczepie, którą ciągnął traktor! Pani Zosia napaliła w tym piecu. A my, jak zobaczyliśmy te dzieci, spragnione teatru, to już nie mieliśmy ochoty wracać. Założyliśmy kostiumy na swoje własne ubrania, żeby było nam ciepłej. To był najwspanialszy czas.

Byliśmy zatrudnieni jako adepci sztuki teatralnej w WDK-u. Mieliśmy mnóstwo warsztatów, dodatkowych poza próbami zajęć i ćwiczeń. Współpracowaliśmy z aktorami Teatru Nowego i Teatru „Nad Wierzbakiem” Poznaniu. To byli nasi nauczyciele. Zdobywaliśmy w ten sposób warsztat aktorski. Dążyliśmy do tego, by być jak najbardziej profesjonalnymi. Była możliwość, byśmy przystąpili – jako grupa teatralna, nie indywidualnie – do egzaminu eksternistycznego i to było realne. Tak się nie stało.

Ostatnim naszym przedstawieniem był spektakl adresowany do młodzieży „Dom”, oparty w głównej mierze na tekstach po-

etyckich. Było tam dużo fragmentów „Kwiatów polskich” Tuwima i to było takie bardzo patriotyczne, wzruszające przedstawienie. Widowiska dla dorosłych, chociaż był taki zamysł, nigdy już nie powstały.

Potem zajęliśmy się tworzeniem działu teatralnego i edukacją dzieci i młodzieży w szkołach. Tworzyliśmy teksty, wyjeżdżaliśmy, poszliśmy bardziej w edukację. Grupa przestawała powoli istnieć, ludzie odchodzili, ale nie pamiętam, kiedy dokładnie nastąpił koniec pierwotnego Teatru „W drodze”. Bo młodzieżowa grupa była prowadzona przez Tomka Nowaka nadal. Na pewno 2 lata intensywnej pracy spędziliśmy nad spektaklami.

Kiedy grupa przestała działać, to nie był to dla mnie łatwy czas. Nie myślałam, żeby stąd odejść jak reszta kolegów. Trochę wędrowałam po różnych działach. Uczyłam się bycia instruktorem, zdobyłam II kategorię i tak się ta moja praca z uczestnikami rozwinęła. Przekazuję im to, czego



sama się nauczyłam, więc myślę, że to jest ta podstawa, którą zdobyłam wtedy i którą teraz noszę. Pewnie moje losy zupełnie inaczej by się potoczyły, gdyby nie Teatr „W drodze”. Pewnie nigdy bym nie pomyślała, że mogę taką pracę wykonywać, posmakować sceny i bycia nazwijmy to, aktorką. To jest praca, którą kocham, uwielbiam i którą się chętnie dzielę.





## Tomasz Nowak kierownik Teatru „W drodze”, instruktor teatralny WDK Poseł na Sejm RP

Kiedy wszedłem w 1979 roku do domu kultury i zobaczyłem salę widowiskową, park świetlny, i okazało się, że mogę zrobić coś po swojemu, z inteligentną, ambitną, twórczą młodzieżą – to było interesujące!

Zaczęliśmy od dyskoteki parateatralnej, co polegało na włączaniu w przestrzeń zabawy działań zupełnie irracjonalnych. Potem był spektakl „Zabawy z Arrabalem” – to Sławek Janasik, Jarek Sparażyński, Sławek Papiera. Rok później zrealizowaliśmy monodram „Stoimy u polskich granic”, odnosząc się do wydarzeń w kraju. Był to ważny dla mnie spektakl, inicjujący dużo poważniejszy wątek, wchodzący w bardziej teatralny rytm. W dyskotekce można było improwizować, natomiast w monodramie od początku do końca trzeba było być osadzonym w języku teatralnym. Współpracowaliśmy już z ekipą techniczną, która wtedy w domu kultury była na dobrym poziomie.

Z Karolem Smuszkiewiczem, bardzo utalentowanym pianistą robiliśmy tzw. „Kręgi wspólnoty”. Były to wydarzenia improwizowane. Ludzie wchodziłi do budynku i nie wiedzieli, co za chwilę się stanie. Prowadziliśmy ich przez cały dom kultury, każda sala była inna. Mieli na przykład opaski na oczach i szli za dźwiękiem bębna, wchodziłi w przestrzeń, która była przestrzenią moką, albo przestrzenią bardzo głośną, przestrzenią niepewności. Kończyliśmy to na scenie przy improwizacjach Karola. Ja też improwizowałem, mówiąc do ludzi, co mają robić, jak się mają czuć. Teraz, z perspektywy widzę, że to był rodzaj terapii, cieszącej się bardzo dużym zainteresowaniem.

„Kręgi wspólnoty” to było moje pokłosie kontaktów z Jerzym Grotowskim. Już jako instruktor, odbyłem kilka warsztatów we wrocławskim Teatrze Laboratorium. Dowiedziałem się, jak można pracować z ciałem, z głosem, wydobywając z siebie swoje ja jako instrument narzędzia aktorskiego. Kontynuacją „Kregów” były „Noce teatralne”.

Niekonwencjonalne były też „Śniadania teatralne”, w czasie których grupa teatralna spotykała się w niedzielę, o godzinie 9 rano, na scenie WDK-u. Staraliśmy się tę scenę zagospodarować na różne sposoby, szukając prawdy o samych sobie, a przez improwizację na temat rzeczywistości tworzyliśmy spektakl. I wtedy – nie zapomnę tej niedzieli – kiedy siedząc na scenie bardzo dziwiliśmy się, że ludzie docierają z wielkim trudem, w końcu przyszedł Sławek Janasik. Rzucił czapkę o scenę, postawił

dwa mleka – bo „Śniadania...” zaczynał się zwykle śniadaniem, czyli było mleko, bułki, były takie pogaduchy, a później dopiero działania. I tłumaczył, że przyniósł tylko dwa mleka, bo... zatrzymał go czołg, i że jest stan wojenny. To był dla nas szok. Skończył się czas wolności teatralnej



i wszelkiej zresztą. Pojawiło się pytanie, co ze sobą zrobić. I wtedy Kazimierz Lipiński, o którym zawsze będę mówił, że jest to jeden z najlepszych dyrektorów, jakich spotkałem w życiu, jeden z ludzi, którzy dawali wolność, powiedział: „Ty wymyślaj, a moim problemem jest jak to będzie funkcjonowało...”.

Wymyśliłem, że zatrudnimy ludzi bez szkół aktorskich, ale którzy chcą się nauczyć aktorstwa, chcą pracować w tym zawodzie i będziemy robili spektakle. W 1982 roku WDK dał ogłoszenie: poszukujemy kandydatów na aktorów. A skoro jest stan wojenny i mamy inną rzeczywistość, to wjdziemy w świat bajki. I z tą załogą półprofesjonalnego Teatru „W drodze” zaczęliśmy robić bajki. Była Ewa Kapszewska, Teresa Dobrowolska, Teresa Szymczak, Elżbieta Gierasimow, Sławek Janasik, Sławek Papiera, było jeszcze kilka osób. Beata Wlazło też w pewnym momencie doszła. Andrzej Moś, który robił nam dokumentację, Jarek Piotrowski, z którym się bardzo dobrze współpracowało od strony muzycznej. Robił z nami rewelacyjne rzeczy, bo trzeba było ludzi nauczyć śpiewać. I te 500 dzieciaków w tej sali, reagujących spontanicznie, wspaniale. Z tym teatrem jeździliśmy później po całym dawnym województwie konińskim. Docieraliśmy do remiz, gmin i tam też mieliśmy komplety publiczności.

Pierwsza była składan-

ka bajkowa, później był „Por i Rop” i „Królowa Śnieżka”. Spektakl „Dom” był już adresowany do młodzieży szkolnej. W sumie chyba cztery spektakle zrobiliśmy i... doszliśmy do granicy możliwości. Przestraszyłem się, że nie damy rady. Umiejętności wstarczało, kiedy graliśmy dla dzieci, ale już bałbym się zagrać „Hamleta”. Z częścią załogi Teatru „W drodze”, który powoli przestawiał się na zawodowstwo, wróciliśmy do teatru amatorskiego. Tam mogliśmy być najlepsi. I rzeczywiście tak bywało, gdy zrobiliśmy spektakl z Iwoną Stolarczyk (obecnie Krzyżak, dziennikarka Radia Merkury - przyp. red.), zatytułowany „Kołysanka według Samuela Becketta”. Wyszliśmy nim z teatru dziecięcego i weszliśmy, uważam, w teatr bardzo poważny. A „Kołysanka Becketta” był jednym z lepszych, moim zdaniem, spektakli, które mi się w życiu udało zrobić. Ten spektakl zdobywał najwyższe nagrody w konkursach amatorskich oraz dostał się na przegląd profesjonalnych teatrów we Wrocławiu: Spotkania Teatrów Jednego Aktora „Wrostita”. I tam też został zauważony. Iwona stworzyła rewelacyjną postać.

Potrąfililiśmy też robić spektakle na 30-40 osób, które wygrywały festiwale. Spektakl „Ja, zegar”, bardzo egzystencjalny w swoim zamysle i mówiący o indywidualnej przyszłości każdego z nas, zdobył najwyższą nagrodę na największym wówczas festiwalu teatrów amatorskich w Dąbrowie Górniczej. Byli tam tacy, którzy są dzisiaj zawodowymi aktorami. Maciej Kowalewski jest dyrektorem Teatru „Na Woli” w Warszawie i reżyserem teatralnym. Życiorysów, którym ten teatr dał się jest dużo.

Teatr amatorski to również spektakle typu „Witkacy, bestia teatru”, który zdobywał nagrody w takim nurcie upowszechnieniowym teatru. Zacząłem bowiem współpracę z Teatrami Nowym w Poznaniu i Nowym w Łodzi. Robiliśmy tzw. „Rozmowy o teatrze”. Przyjeżdżały ekipy teatralne i jeździłem z nimi po szkołach, robiąc spektakle upowszechnieniowe. Między innymi ja, pisałem do nich scenariusze, niektóre udało się również wyreżyserować, ale to wszystko się w pewnym momencie skończyło, bo zaczęliśmy robić „Noce teatralne”. Nadawali im ton ludzie dynamiczni, tacy jak Maciej Kowalewski czy Paweł Markowski. W ich ramach realizowaliśmy też „Trzy salony”, pomysł Sławka Papiery. Władzy w pewnym momencie nie spodobało się, że o 4 nad ranem grupa teatralna podeptała „Trybunę Ludu”. „Noce...” zaczynał się gdzieś o godzinie 19 i do godziny 4, gozdziny 7 rano były non stop spektakle. Co godzina, co pół godziny, bo formy były różne, na terenie całego domu kultury ludzie bawili się teatrem. Były teatry zawodowe i teatry amatorskie. Grupa z Pawłem Markowskim i Maciejem Kowalewskim zrobiła spektakl, który doprowadził do tego, że Kuratorium Oświaty odebrało nam możliwość realizowania projektu. W dodatku kurator, który wówczas trząsł miastem, mógł spowodować, że mogliśmy stracić pracę. W obronę wziął nas Kazimierz Lipiński. Był



socializm, ale w WDK-u mieliśmy swoją wysepkę wolności.

Ze Sławkiem Papierą animowaliśmy recytację. W każde wakacje organizowaliśmy warsztaty wyjazdowe, gdzie z recytatorami i członkami teatru próbowaliśmy na różne sposoby pracę z ciałem, z głosem, z ekspresją. One się odbywały w różnych miejscach województwa konińskiego, a raz nad morzem, w Łebie. W czasie roku szkolnego było ciężko to zrobić, ale jak pojechaliśmy na taki warsztat, to przywieźliśmy spektakl jeden, drugi, trzeci... Ruch recytatorski, z tą samą Iwoną Krzyżak, odnosił sukcesy, bo zajęliśmy – nie pamiętam – czy to było trzecie czy pierwsze miejsce, ale byliśmy w ścisłej czołówce recytatorów w kraju. Pamiętam w Ostrołęce taki konkurs recytatorski, gdzie się mówiło o „szkole konińskiej”.

Był to szalony dom kultury, szaleni ludzie, artystyczne sploty kajakowe. Pakowaliśmy się do kajaków w miejscowości Warta i płynęliśmy po Kruszwicę. Codziennie w kajakach dopływalismy na godzinę 16, 17, gdzieś tam, gdzie ekipa techniczna przygotowywała nam nad wodą scenę, sprzęt i robiliśmy dla miejscowych działań teatralne, także upowszechniające, zabawowe, festynowe. Dom kultury był widoczny! Następnego dnia znowu w kajak, płynęliśmy dalej... Spaliśmy najczęściej w szkołach. To była przygoda...

W roku 1986 przyjąłem stanowisko kierownika GDK „Oskard”. Co najmniej rok, dwa prowadziłem w WDK-u grupy teatralne. Ale żeby być dobrym instruktorem teatralnym, to trzeba żyć z ludźmi, trzeba być blisko nich, trzeba być ich przyjacielem, opiekunem, trzeba z nimi rozmawiać, trzeba z nimi wspólnie spędzać czas. Na dłuższą metę nie miało to przyszłości.

O WDK-u zawsze będę myślał dobrze, ciepło... Jeśli chodzi o KDK – z jednej strony ma być miejscem, do którego przyjdą ludzie i będą oglądali jakiś spektakl, widowisko. Czyli musi spełniać typową rolę miejsca rozrywki. Ale miasto powinno sobie odpowiedzieć, co powinno być jego wiodącym produktem kulturalnym, za pomocą którego może być widoczne w Polsce i w Europie. Nie robić rzeczy, które będą znikły, tylko zrobić jedną, dwie, trzy, na które się postawi, wyłoży pieniądze. I wydaje się, że taki czas dla KDK-u powinien nadejść.



Spektakl teatralny z edukacyjnego cyklu „Poznajemy teatr”

W szkole podstawowej zainteresowałem się sztuką i recytacją. W WDK-u trafiłem do pod skrzydła nieżyjącego już Czesława Meissnera. To we mnie zakwitło i kiedy poszedłem później na studia do Poznania, szukałem kontaktu z teatrem. Moje koleżanki z grupy dostały się do Teatru Ósmego Dnia, ale jak myśmy się zorientowali, że można tam pójść na warsztaty, nie było już wolnych miejsc. I wtedy ktoś nam powiedział o Teatrze Maja. Był to teatr nowoczesny, objazdowy, związany z Uniwersytetem, więc może bardziej reżimowy niż „Ósemki”, ale nauczyłem się tam wielu cennych rzeczy, szczególnie jeśli chodzi o ruch sceniczny.

Wracając kiedyś z Poznania, spotkałem w pociągu Tomka Nowaka. Rozmawialiśmy o teatrze, on mówi: „Przyjeżdż do Konina, mamy teatr półprofesjonalny. Jest szansa, żeby zdobyć tu w przyszłości zawód”. Długo się nie zastanawiałem. Na kilka lat związałem się z Teatrem „W dro-



Warsztat teatralny – praca z ciałem

dze”, grałem w różnych przedstawieniach. Zrobiłem w Koninie wiele rzeczy, których nauczyłem się w Poznaniu. Na przykład happeningi. Udawaliśmy archeologów, szukając czegoś w piachu. Rano to zakopaliśmy, a popołudniu odnajdowaliśmy – dwie półkule mózgowie – i zastanawialiśmy się: „Jak to jest możliwe? Gdzie jest czaszka? Mózg jest. Ale gdzie jest czaszka?” Ujawniliśmy później, że to był performance o tym, że na plaży grzebiąc w piasku można różne rzeczy znaleźć... Bardzo mnie interesowały rzeczy nowatorskie, z pogranicza performance.

Z tego właśnie wzięły się „Trzy Salony”. Dla nas była to okazja wyrażania swoich poglądów. Rozmowy o polityce były ryzykowne. Nasze dyskusje odbywały się w wąskim gronie, niektórzy mieli obawy, bali się wychylać. Sztuka dawała taką szansę, czuliśmy się w niej wolni. Nie gwarantowało to spokoju, były reperkusje. Pamiętam, po słynnych „Nocach teatralnych”, kiedy spektakl wystawiała młodzież z II LO, zainteresowała się nami SB – skąd takie inspiracje, dlaczego młodzież depcze po gazetach, dlaczego „Trybuna Ludu” leży na podłodze, dlaczego kombatan ci jeżdżą drewnianym wózkami i brzęczy butelkami. Były takie pytania. Chodziłem tłumaczyć się do kuratora, bo przypisywano mi autorstwo tego pomysłu. Tę młodzież oskarżono nawet o to, że była podżegana przez kościół w Morzysławiu, chyba ze względu na bliskość szkoły i tej parafii?

„Noce teatralne” realizowałem z Tomkiem Nowakiem. Czegoś takiego wcześniej nie było. Jedną z nich pamiętam dokładnie. W hallu WDK-u Jacek Różański śpiewał piosenki Stachury. W sali sportowej wy-

## Sławomir Papiera

recytator, aktor teatru „W drodze”, artysta kabaretowy i pracownik impresariatu WDK  
redaktor naczelny Telewizji Informacyjnej „Konin”



rem warszawskiego teatru, o Pawle Markowskim – w końcu w radiu też pracuje się głosem, też wykorzystuje się takie umiejętności. I ta spora grupa ludzi, którzy byli wtedy bardzo młodzi, jeździła z nami na warsztaty. Po jednym z nich, nad morzem, powstał spektakl, za który z tą młodzieżą otrzymaliśmy nagrodę pieniężną i który zrobił niesamowite wrażenie!

Nie słyszałem nigdy, by gdzieś w Polsce robił ktoś taką imprezę, gdzie o to artyści-amatorzy, płyną kajakami, na noc zatrzymują się w jakichś miejscowościach, śpią w szkołach, w remizach, w śpiworach, na materacach, etc. Podkreślę, że mieliśmy na to w WDK-u zielone światło. Była ogromna tolerancja dla pomysłów i realizacji. Nie zapomnę mojej rozmowy z Jackiem Fedorowiczem, który powiedział do mnie: „Niech Pan się zastanowi, bo ja biorę odpowiedzialność za wszystko, co powiem. Ale niech Pan się zastanowi, czy chce pan wziąć odpowiedzialność, za mój występ. Bo ja nie chciałbym Panu krzywdy zrobić, słyszę po głosie, że jest Pan młodym człowiekiem. Zaraz się ktoś Panem zainteresuje, jeszcze Pana z pracy zwolnią...” Ten występ się nie odbył, bo nie dograliśmy terminów, nie dlatego, że ktoś mi go zabronił organizować.

Nie zapomnę występu Macieja Zembatego, którego zaprosiliśmy z piosenkami Cohena. Sala widowiskowa pełna. Zembaty sam z gitarą po środku, w spodniach moro, mówi: „Proszę Państwa! To są spodnie armii amerykańskiej, armii na którą zawsze można liczyć!”. Jak to zabrzmiało! Pamiętam też występ Johna Portera. Było może ze 100 osób, ale powiedzieli sobie – John Porter to dzisiaj jedna z kultowych postaci rynku muzycznego. Człowiek Zachodu, który postanowił żyć w Polsce, jeszcze w latach 80. Organizowaliśmy mnóstwo takich imprez i tym, którzy je pamiętają, ciągle coś w duszy gra. To były niełatwe lata, więc jak mówilem, uciekaliśmy w sztukę.

Fajnym epizodem w moim zawodowym życiu był też Kabaret „Odkrywka”, który zrobił kilka programów. Na temat jego wizji przegadałem ze Zdzisławem Grabowskim wiele godzin. Początkowo ćwiczyliśmy w WDK, potem stała scena kabaretową próbowano stworzyć pod amfiteatrem,

i tam i tu, zawsze te przedstawienia dawały sporo radości. Co było najistotniejsze, u Zdzisława i reszty kabareciarzy, że przestali się wstydić. Bo u nas generalnie jak ktoś nie wygląda najlepiej, jest grubszy, inny, to się wstydzi i myśli, że nie może się publicznie pokazać. Chodziło tylko o to, by się realizować. Żeby człowiek po pracy miał pasję, której mógł się oddać. Była to typowa amatorska impreza, ale ważna, prawdziwa, wypływająca z głębi duszy.

Zdzisław pisał teksty kabaretowe, pisał również różne teksty satyryczne. Byliśmy z nim kilka razy w Bogatynie na Turnieju Łgarzy. Jak sobie teraz przypomnę jak mój kolega Mirek Olas, mówił tekst Zdzisława o psychotronicznej metodzie przenoszenia włosów z miejsca, gdzie są do miejsca, gdzie ich nie ma... To było coś niesamowitego, ten gest głową. Sami ześmy się z tego śmiali. W dodatku Mirek był łysy. Jeździła z nami Wiesia Pacanowska, która wygłaszała swoje monologi, napisane przez Zdzisława, jeździł Andrzej Szymczak. Myśmy w tej Bogatynie robili furorę, jako taka 5-6 osobowa grupa z Konina. Szliśmy w pochodzie łgarzy i krzyczeliśmy: „My pazardwiałem Was z dniem rażenia!” Wprowadzaliśmy takie akcenty humorystyczne i to się podobało. Program III Polskiego Radia wypromował mocno tę imprezę. Wyszło z niej wiele osób, które trafiły później na scenę kabaretową i to jest miłe, że myśmy też tam byli.

Zostałem też namówiony przez Zdzisława do zaśpiewania nostalgicznej piosenki „Za 14 niecałych lat, czy tego chcecie, czy nie chcecie, za 14 niecałych lat, wejdziecie w 3 tysiąclecie” i do tego Jarek Piotrowski napisał muzykę. Pojechałem z tym do Ostroliki na jakiś przegląd piosenki kabaretowej, zajmując III miejsce. W jury siedział Janusz Atlas, imprezę prowadziła młodzieżka, śliczna Katarzyna Dowbor. Bardzo dobrze został przyjęty tekst i muzyka, moje wykonanie. To był szok. A po roku śpiewaliśmy już: „Za trzysta lat niecałych lat”... Wtedy Konin, ludzie, którzy cokolwiek tu robili artystycznego, zdobywali wiele nagród we wszystkich konkursach w Polsce. Pamiętam taką imprezę „Korowód przyjaźni”. Gdyby dziś – pomijając kontekst polityczny, Kraj Rad itd. – zorganizować taką imprezę folkową, z rozmachem, to Konin miałby naprawdę fajne wydarzenie.



Zdzisław Grabowski

stępował teatr z Krakowa Kateo, później w sali widowiskowej miał przedstawienie Jerzy Gudejko. To było coś niesamowitego – 100-150 ludzi, którzy wędrowali z miejsca na miejsce, biorąc udział w różnych przedsięwzięciach artystycznych! Nikt wtedy w Polsce tego nie robił. Był to szalony pomysł, logistycznie, technicznie artystycznie.

Gdy jako Teatr „W drodze” przestaliśmy istnieć, zaangażowaliśmy się mocno w działania instruktorskie. Uczyliśmy recytacji i tego, czego ześmy się sami w teatrze nauczyli. Do dziś Ci młodzi wówczas ludzie zajmują się sztuką lub wykonują zawody, które się o nią ocierają. Myślę o Justynie Kalużyńskiej, która kieruje „Oskardem”, o Macieju Kowalewskim, który jest aktorem, reżyserem, autorem scenariuszy i dyrekto-



Kabaret Odkrywka



## Tańczyliśmy 'Babiakiem' i 'Malanowem'

**Józef Rosiński**

instruktor tańca w PDK, DKZK, WDK, choreograf Zespołu Pieśni i Tańca „Konin”

Do Konina ściągnął mnie w 1970 Izidor Garbaciak, organizując obsadę nowego domu kultury. Ze Złotoryi, gdzie pracowałem 10 lat i prowadziłem, także w Legnicy, zespoły dziecięce. Umiejętności doskonalilem w Skolimowie. Działał tam ośrodek szkolenia instruktorów artystycznych Centralnej Rady Związków Zawodowych. Połowa zespołu potem przeszła do „Mazowsza”, do Karolina. Kiedy rozpocząłem pracę dyrektorem był śp. Zygmunt Werbiński, ale bardzo krótko, chyba pół roku. Na jego miejsce przyszedł zaraz Konrad Zawal.

Moim zadaniem było stworzenie zespołu tanecznego, zatem od dzieci rozpocząłem i prowadziłem je do 1978 roku. W międzyczasie zacząłem też prowadzić grupę młodzieżową, żeby z jednych i drugich zrobić po prostu tancerzy. Przyjmowałem wszystkie dzieci, jakie tylko były, ale potem one też mi się odwdzięczały w pracy. To był trzon zespołu. Najmłodszy, którzy do mnie przyszli, 7-latkowie, mieli już 15 lat, gdy cała ich grupa znalazła się w zespole pieśni i tańca, który powstał w 1976. ZPIT „Konin” zorganizowałem wspólnie z śp. Jurkiem Bąkiem. Kiedy powstało nowe wojewódz-



two, mieliśmy najazd poznaniaków, którzy się na wszystkim lepiej znali i odsunęto mnie od kierownictwa tego zespołu. Straciłem motywację do pracy, kiedy zaczęto naciskać, bym moim zespołem tanecznym 15-latków wzmocnił zespół pierwszy, to znaczy zespół ludowy. Przejął go Roman Matysiak, ale na zasadzie takiej, że on był kierownikiem artystycznym, bo tak się to nazywało, ale pracę tą zasadniczą w zespole prowadziłem ja. Ten zespół był dość duży. Program się składał z tańców, które nazywaliśmy „Malanowem”, bo był z tych stron, z Malanowa, a tańce z Kujaw polu-

dniowych, z rejonu Babiaka, nazywaliśmy, dla szybkiej orientacji, „Babiakiem”. To były takie dwie suity tańców regionalnych. Mieliśmy stroje żywieckie wiejskie stroje góralskie, lubelskie, śląskie z okolic Bytomia. Oczywiście z okresu Księstwa Warszawskiego, do poloneza. Niektóre z kostiumów były na zapas, podbeskidzi...

Po tym zająciu przeniosłem się do Zielonej Góry. Pracowałem w dziale folkloru WDK i w WSP na fakultecie tańca. W tym czasie organizowano tam m.in. międzynarodowe festiwale zespołów pieśni i tańca. Poświęciłem się pracy z instruktorami. Z tego okresu spod mojej ręki wyszło ich około 130.

Wróciłem chyba w 1986 roku i zacząłem pracę w MDK-u, jednocześnie pracowałem z Zespołem Pieśni i Tańca, jak to się mówiło nieładnie, na godziny. Oczywiście

w MDK-u też założyłem zespół dziecięcy i z tego zespołu, dziecięcego, znowu wielu przeszło do Zespołu Pieśni i Tańca. Ten okres nie był najlepszy dla zespołu. Był... niepokładany programowo. Pracowało z nim kilku choreografów. Na przykład ostatnio Jarek Wojciechowski. On chyba w Koszalinie prowadził zespół „Bałtyk”, ale sam pochodził z Nowej Rudy. Według mnie, jeśli tu choreograf nie mieszka, to nie będzie pracy uczciwej. Poza tym młodzież, która w nim tańczyła, pochodziła z okolicznych wsi i wstydziła się tego, co stamtąd wyniosła. Chciała tego, co pokazywała telewizja, a w telewizji przecież tylko gimnastykę się uprawia, a nie taniec. A potem ten zespół, to już były lata 90., został rozwiązany. Rozpoczęły się chude czasy dla kultury. No i tak się to skończyło.

W KDK-u pracuję dwóch moich wychowanków. Oni oczywiście wiedzą, jak ważne jest opanowanie techniki tańca, ile trzeba żmudnej pracy wykonać, by potem czuć się znakomicie na scenie. Oni inaczej już to prowadzą niż ja, wiadoma rzecz, co innego prowadzą, nie taniec ludowy, choć jeden, wiem, ma trochę takich inklinacji ludowych, ale... to nie jest TO.

Nie wiem, czy reaktująca ZPIT „Konin” się powieździe, bo młodzież jest czym innym zainteresowana. Chyba, że to byłby zespół, który ma tańce ludowe i inne tańce. Bo te tańce ludowe include są nudne dla widza i trzeba je lekko podrasować, by widzowie mogli to obejrzeć.

## Nie zgubiłem po drodze człowieka

**Ireneusz Ryś**

instruktor piosenki i muzyki w WDK i KDK, autor tekstów, muzyk, kompozytor

W 1978 roku trafiłem do Międzyspółdzielnicznego Ośrodka Kulturalno-Oświatowego, który mieścił się przy ul. ZWM w Starym Koninie, obecnie Szarych Szeregów. Była to bardzo prężna placówka, pojawiali się tam również Cyganie, było bardzo fajnie. Zawiadowała nim pani Krystyna Szymańska, która wiele mi pomogła. I śp. Jurek Bąk, który mnie weryfikował. W MOKO zdobyłem kategorię instruktorską. Stworzyłem tam zespół Bastard i z małymi przerwami gra on do dziś. Szukaliśmy nazwy w leksykonie. „Bastard” to dzięki pęd, nie ta krzyżówka, ktoś, kto nie idzie prostą drogą, nieślubne dziecko. Taki ktoś, coś na opak. Niekoniecznie z wszystkimi. Zespół stworzyłem sam. Dołączył do mnie mój brat, Dariusz, Krzysztof Kopczyński, który jest z nami do dziś, moja żona Grażyna. Niewielu ludzi chciało ze mną wtedy grać. Nie znano mnie. Przeszedłem skądś. Miałem ambicje założenia własnej paczki. Ale nie byłem tutejszy. Dołączył do nas Krzysztof Paciorkowski, którego ściągnąłem z Malborka. Zespół stał się mocny w sobie. Reprezentowaliśmy miasto na wojewódzkim Przeglądzie Piosenki Młodzieżowej w Poznaniu, gdzie wystąpiliśmy wspólnie z Truwerami. Oni oczywiście poszli dalej, a my cieszyliśmy się, że udało nam się wystąpić w koncercie o randze wojewódzkiej. Truwerzy byli grupą z WDK. Ich wokalistą był wtedy Andrzej Kolański, który w tej chwili występuje z nami.

Początek Bastardu to okres dość jałowy sprzętowo. Kleciliśmy coś sami, mój brat zrobił np. syntezator z klawiatury akordeonowej, bardziej to piszczało niż grało, ale był rok 1982 i ludzie nas podglądali. Wyrwaliśmy się z tą naszą techniką. Kupowali w stolicy za dolary. Brat zrobił również automatycznego perkusistę, co żywemu wcale nie przypadło do gustu, ale była to innowacja. Potem nowoczesny profesjonalny sprzęt zaczął na nas testować Lech Polanowski, obecnie potentat jeśli chodzi o nagłośnienie w Polsce. I tak staliśmy się bardzo nowoczesni.

Nie mieliśmy własnego miejsca. Po MOKO zaczął się marsz. Byliśmy Zespołem Elektrowni PAK, Zarządu Wojewódzkiego ZSMP. W tym czasie wiele występowałem w konkursach, spotkaniach, warsztatach, wzięliśmy udział w Centralnym Świątku Młodości, zespół przeszedł weryfikację państwową. Ale tu!aliśmy się. W 1984 zobaczył nas ówczesny wicedyrektor WDK-u Jarosław Piotrowski i zaproponował nam przejście pod skrzydła



domu kultury. Był to niesamowity awans. W tym czasie pracowałem jeszcze w szpitalu, przez 3 lata przychodziłem do WDK-u na godziny. Od 1988 roku, już na pełnym etacie, pełną parą zacząłem prowadzić zespoły wokalne i muzyczne. Było to tuż przed podziałem instytucji na miejską i wojewódzką. Nauka tych dzieci odbywała się na poziomie podstawowym. Często były to grupki raczkujące, które jeszcze nic nie potrafiły. W programie były: perkusja, organy. Grali prosiutko, ale z sercem. Pod koniec lat 80. i na początku 90. działały zespoły Kapselki, Raszpel – sami chcieli się tak nazwać, Mikroby, Psiaki i cały czas Bastard, chociaż od 1991 roku już tylko jako duet. No i orkiestra młodzieżowa Alibi, dziecięca Mango. Ta pierwsza, 20-osobowa, składała się z uczniów i absol-

wentów Państwowej Szkoły Muzycznej w Koninie. Była to dojrzała forma, która zakończyła działalność w momencie, gdy uczestnicy zaczęli kontynuować naukę poza miastem. Najczęściej na studiach muzycznych.

Jestem również instruktorem piosenki. Przez wokalne Studio przewinęło się przez te lata niemal 500 dzieciaków. Znałem je od małego. Rozśpiewywały się, nabierały rozpędu, dojrzywały. Większość z nich studiuję lub też skończyła edukację muzyczną. Śpiewa, uczy śpiewu, lub planuje taką przyszłość. Wymienię choćby Marlenę Fibakiewicz, obecnie Brzezińską, Anię Hermanowską, Ciesielską, Martynę Wasylkiewicz, Patrycję Grabarczyk, Magdę Moczyńską, Małgosię Janczak, Magdę Lisowską czy Agnieszkę i Kasię Łapajówny. Bardzo fajne grono! Radzą sobie na scenie, w szkołach, w pracy. Była to również szkoła życia. Rozmawialiśmy, uczyliśmy się patrzeć na świat. Nie zgubiliśmy człowieka po drodze.

Napisałem 100 wierszy i piosenek. Mam kasetę autorską z moją muzyką i tekstami dla dzieci i dorosłych. Adaptowałem również teksty do musicalu „Dzwonnik z Notre Dame”. Zapoznałem się z tłumaczeniami, uruchamiałem wyobraźnię. I płynąłem.

Obecnie jestem emerytem. Pracuję na pół etatu. Gramy z Bastradem koncerty, także zagraniczne, okolicznościowe, dla miasta. Poza tym opiekuję się zespołami muzycznymi. Ratuję je przed głupstwami, które chcą popieścić, chociaż młodzi ludzie lepiej wiedzą, co mają grać. Orkiestra odeszła na studia i pomyślałem, żeby i ją reaktywować. Coś mi tam jeszcze po głowie chodzi...

# Kultura uwielbia chojność

Adam Augustiański

pracownik WDK, dyrektor KDK w I. 1988-2003

Zostałem dyrektorem w przelomowym dla kraju momencie i wiązało się to z pewnymi konsekwencjami. W latach 90. działaliśmy w obrębie dwóch porządków prawnych, częściowo według starych przepisów. Funkcjonowała jeszcze wówczas ustawa o działalności kulturalnej, placówka podlegała wtedy mocniej restrykcji urzędu. Były limity plac, etatów, na które dostawaliśmy pieniądze – oczywiście była też duża swoboda w przesuwaniu środków. Działaliśmy jednak w to góry ustalonym porządku, bardziej jak jednostka budżetowa. W momencie zmiany, zmienił się system finansowania domów kultury. Przeszliśmy z paragrafowego na rodzajowy, rzeczowy. Instytucja otrzymywała określoną pulę pieniędzy i w tej jednej dotacji bieżącej mieściło się wszystko. To rzecz jasna nie wystarczało, a jak brakowało, to był problem dyrektora, który musiał resztę wypracować.

Generalnie nigdy środków z dotacji podstawowej nie było dość. W pierwszej kolejności wypłacane były pensje, opłacane podatki, utrzymanie obiektu, potem dokonywaliśmy podsumowań i to, co zostało – jeśli zostało – przeznaczaliśmy na działalność. Która zresztą zawsze balansowała na granicy ryzyka i opłacalności, jeśli w ogóle opłacalność w takiej branży można mówić. Podjęciem dużego ryzyka bywało jednak organizowanie imprezy, na którą nie zostały zabezpieczone środki. Wiadomo, że umowy z artystami podpisuje się wcześniej, trzeba zapłacić im za występ lub karę za odstąpienie od umowy, trzeba zapłacić wszelkie inne koszty związane z wydarzeniem. Jeśli w takiej sytuacji bilety nie sprzedają się tak, jak żeśmy tego oczekiwali, to wiadomo – mieliśmy dziurę w budżecie, którą trzeba było uzupełnić. Wtedy myśmy przesuwali środki i tak zresztą funkcjonowali. I zaskoczę wszystkich – uważam, że to bardzo mobilizujący sposób działania. Wolę podejście menadżerskie, niż zarządzanie obiektu, który otrzymuje pulę i musi się zmieścić. Wtedy niewiele można działać, więc jestem zwolennikiem odważniejszych zachowań.

Pewnie, gdyby były pieniądze w domu kultury, inaczej potoczyłyby się losy salonu wystaw. Ja też uważam, że w całości ten obiekt powinien być przeznaczony dla działalności kulturalnej. Instytucja zawsze cierpiała na niedostatki lokalowe, szczególnie na działalność merytoryczną. Powinniśmy więc dążyć, aby wszystkie pomieszczenia przyległe do domu kultury, wróciły do niego. Jeśli chodzi o kwestie finansowe, łatwo też koszty wyliczyć: opłaty za wynajem razy 12 miesięcy. O tyle powinna wzrosnąć dotacja placówki rocznie.

Postrzeganie domu kultury jako placówki, która powinna organizować imprezy komercyjne jest błędne w moim mniemaniu, ponieważ nie do tego została ona powołana. Podstawową działalnością jest amatorski ruch artystyczny, który funkcjonował, funkcjonuje i funkcjonować będzie jako forma kreatywnego uczestnictwa w kulturze. Był w WDK-u swego czasu znakomity półprofesjonalny Teatr „W drodze”. Borykali się się z różnymi sprawami – technicznymi, organizacyjnymi, scenograficznymi, ale to było bardzo fajne przedsięwzięcie. Mogło istnieć nawet jako jakaś niezależna forma, odrębna, jakies stowarzyszenie, której dom kultury mógłby pomagać. Jeśli forma jest mocno rozbudowana, a było tak w przypadku teatru, muzyki czy tańca, to jestem zdania, że powinna się usamodzielniać, autonomizować. Jeśli są to prężne formy, dojrzałe do tego. Zawsze namawiałem do samodzielności, szczególnie wspomniane formy, ponieważ mają one

bardzo dużą szansę częściowego – podkreślam – samofinansowania się. W takiej sytuacji mogą być wolne od więzów administracyjnych, organizacyjnych, tylko blokuje rozwój. I nie chodzi o to, żeby się pozbyć zespołu z domu kultury i żeby nie pomagać. Przeciwnie. Chodzi o większą swobodę działania i możliwości. Dodatkowe środki powinny być wtedy na taką formę czy nawet już ośrodek, przeznaczone. A dom kultury i miasto powinny zapewnić lokal i utrzymanie, i częściowe dopłaty dla osób, które chcą uczestniczyć, bo nie można przecież wykluczyć z uczestnictwa osób, których na kulturę nie stać. Trzeba by pomyśleć w końcu o nowych mechanizmach, bo znaleźliśmy się w nowych realiach, a tkwimy jeszcze w poprzedniej epoce.

Podjęwaliśmy często decyzje niepopularne, jak np. ucząstkowanie etatów. Była to bardzo dobra decyzja, zaskoczę niektórych. Mieliśmy limit 48 etatów, mieliśmy na nie pieniądze i w ramach nich mogliśmy funkcjonować. Kiedy instruktor pracujący z zespołem miał 40-60 godzin, a jego wymiar wynosił 160-180 godzin, stawaliśmy przed problemem, co z nim zrobić. Zamiast likwidować stanowisko, redukować, wolałem zastosować tę metodę: ludzie przechodzili w takiej sytuacji na częściowy etat. Nie jest to tylko dylemat dyrektorów domów kultury, także szkół i to w skali całego kraju, i powinien zostać rozwiązany systemowo.

Kiedyś np. były tzw. etaty instruktorskie. 900 godzin. miesięcznie, potem zlikwidowane. Można było oczywiście instruktorów, którzy nie mogą wykorzystać limitu godzin, dać do zadań techniczno-organizacyjnych



– to też było wyjście. Przerosty zatrudnienia były zawsze i wynikało to z różnych przyczyn. Na przykład w 2003 roku, kiedy odchodziłem z KDK, były 33 etaty, a dzisiaj – mimo iż niewiele więcej zadań zostało dołożonych, jest 30-40% więcej etatów. Oczywiście minimalne zwiększenie powstało biorąc pod uwagę Energetyk. Taka jest rzeczywistość, która często nie ma związku z nowoczesnymi formami zarządzania taką placówką.

A jak realizowałem słynne zdanie, że „Kultura nie znosi skąpstwa”? Starłem się skąpy nie być, na tyle ile mogłem. Często wychodziłem poza możliwości ekonomiczne. Gdzieś trzeba było zaryzykować i wszystko było dobrze, dopóki ktoś się nie doczepił, np. do paru groszy odsetek. Czasem trzeba się narobić. Gdyby nie to, połowy byśmy nie zrobili. Brałem tę odpowiedzialność dla siebie.

Moją prawą ręką, z którą nieraz mocno się ścieraliśmy, ale merytorycznie, była w tamtym czasie śp. Krystyna Miedzińska. Postać o mocnej osobowości, która wywarła piętno na działalności tej instytucji. Potrafiła, jako mój zastępca ds. merytorycznych wpływać na to, co działo się w domu kultury, wśród instruktorów. Była dobrym duchem tego miejsca. Powodowała, że wiele rzeczy robiło się wspólnie. Te słynne po imprezie „spotkania o Krysi”. Konsolidowała ludzi. Była spontaniczność, więzy między ludźmi

– na pewno w dużej mierze dzięki jej charyzmie i pewnie czasem. Dziś chyba tego nie ma. Zostało to rozluźnione, może rozerwane. Brakuje tego smaczku fajnego.

Kiedy KDK został powołany, byliśmy młodzi o te 22 lata. Inaczej postrzegaliśmy rzeczywistość. Inaczej podchodziliśmy do zadań, bardziej zjednoczeni. Rzucało się hasło i szła robota. Dziś tego nie ma. Może dlatego, że dorosliśmy, jesteśmy starsi, żyjemy w innych realiach? Może to też rzutuje na tę naszą pracę? Może to się dzieje bez charyzmy, bo staramy się tylko zdobyć środki do życia?

Z wczesnej działalności najbardziej w pamięci utkwił mi taniec. Ale taki, którego tutaj nie było.

Kiedy przejeżdżaliśmy obiekt w 1988 odeszły z domu kultury dwie instruktorki – Elżbieta Siuda i Ula Henclewska. Prowadziły w WDK-u ciekawą formę. Robiły widowiska. Spektakle taneczne. I powstała luka. Nie było też tak jak dzisiaj – instruktorów na wyciągnięcie ręki. Zatrudniliśmy więc dwóch chłopaków, którzy wcześniej byli tancerzami Zespołu Pieśni i Tańca „Konin”. I to był dobry ruch. Trwało to trochę, bo musieli zdobyć kwalifikacje w różnych dziedzinach tanecznych. Ale był to nasz pierwszy wielki krok w tańcu. Te formy rozrastały się, potem jak w całym kraju, stały się ruchem dominującym. Później zatrudniliśmy Justynę Szczap, też uczestniczkę naszego zespołu, Grzesia Ambroziaka – również. Mieliśmy też 2 inne znakomite instruktorki: Małgorzatę Kazuś (Zderzenie) i Wiesławę Woińską (Rytmix). Młodsza kadra powstała tu na miejscu i jest stąd od zarania. Nie szukaliśmy na siłę, nie ściągaliśmy ludzi z Polski, choć była taka tendencja. Przyjeżdżali tu choreografowie, instruktorzy różni, jeszcze za DKZ i WDK. To było wyzwanie oczywiście, ale dało efekty.

Byli też muzycy, filmowcy, fotografia, były tu ekipy ludzi, którzy pracują tu aż do dziś. Co prawda teraz się to pozmiało, uzupełniono innymi, bo zmieniła się choćby technologia czy technika. Oczywiście festiwal, który od 6. edycji przejeżdżamy jako formę. Dobra, fajna rzecz. Było to duże. Robiliśmy go jednak z Poznaniem, który narzucał nam i nie uwzględnił zupełnie naszego zdania jako współorganizatora. Kiedy Leśniewski zrezygnował, przejeżdżaliśmy to wyzwanie i po raz pierwszy wtedy – był to punkt zwrotny w historii – została zorganizowana pierwsza transmisja TVP. Reżyserowała go Olga Lipińska, która napsuła krwi wszystkim, a najbardziej ówczesnemu dyrektorowi domu kultury – Jurkowi Łagodzińskiemu, który przeżył tę współpracę bardzo mocno. Bo pani Olga bardzo apodyktycznie kierowała próbą. No i potem myślę, że kierunek ten był dobrze utrzymywany, poprzeczka była z roku na rok podnoszona.

Dzisiaj warto byłoby się zastanowić nad zmianami. Jak wszystko, co trwa w czasie, i festiwal powinien zostać odświeżony. Trzeba stanąć z boku i popatrzyć. To samo z Derbami, ale to zupełnie inna epoka, inna historia. W tym przypadku w ogóle nie wiadomo, czy nie lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze na 5-6 innych imprez. Amatorski ruch artystyczny jest rozbudowany, zawsze oscyluje wokół 500 uczestników. To trzeba utrzymać. Wiele jest trudnych spraw, czasem przepisy też je blokują. Ale trzeba być elastycznym.

Zaczęłam pracę w WDK-u 1 grudnia 1982, przed stanem wojennym. Zatrudniał mnie Kazimierz Lipiński. Początkowo byłem pracownikiem impresariatu. I to był jeden z fajniejszych okresów, ponieważ

te lata to był boom tej fali rocka, który wykorzystaliśmy. To przewinę się przez te sale. Szybko leciały! Nie w przenośni, ale dosłownie. Duchota, że siekierę można było powiesić. Ludzie z całego powiatu się zjeżdżali. Potem pracowałem w dziale instrukcyjno-metodycznym tzw. terenowym, gdzie byłem instruktorem. I później przez krótki czas, jakieś pół roku byłem kierownikiem administracyjnym. Przeszedłem długą drogę w domu kultury. Potem odszedłem, ale ściągnął mnie z powrotem Jurek Łagodziński na swojego drugiego zastępcę, bo przecież była śp. Krystyna Miedzińska. A potem nastąpiła likwidacja WDK-u, przez dyrektora Wydziału Kultury Andrzeja Nowaka, i powołanie wspólnie z prezydentem Ryszardem Nawrockim, dwóch placówek o charakterze wojewódzkim i miejskim, czyli – Wojewódzkiego Ośrodka Kultury oraz Konińskiego Domu Kultury. I od tego czasu w mieście funkcjonuje placówka samorządowa. Zmienił się system finansowania, upadł fundusz rozwoju kultury. Opowieść rzeka!





## Warto inwestować we własne środowisko

**dr Jarosław R. Piotrowski**

**instruktor piosenki i muzyki, dyrygent Konin Band Orchestra, muzyk, kompozytor, aranżer**

W 1982 roku zostałem ściągnięty ze Słupcy, gdzie prowadziłem własne zespoły – akordeonowy, harcerski, big band. Była potrzeba stworzenia kapeli i chóru dla Zespołu Pieśni i Tańca „Konin”. Zastałem tu kompletne NIC. Zero ludzi do pracy. Nie bardzo wiedziałem jak to zrobić. Nie wiedziałem, na ile mogę pozwolić sobie na stylizację. Orędownikami tego mojego przejścia byli śp. Krystyna Miedzińska i dyrektor Lipiński. Dom kultury za jego czasów miał bardzo mocną pozycję. Człowiek był swobodny, dowartościowany. Na wszystko były pieniądze.

Głowiłem się, ale obiecano mi mieszkanie. Muzykowi przysługiwało M5, instruktorowi M2. Za długo myślałem i do tego większego wprowadził się Tomek Nowak. Obiecałem w końcu, że złożę tę kapelę. Choreografem ZPIT był wtedy Jarosław Wojciechowski z Koszalina, zastąpił go później poznaniak, Roman Matysiak. Musiałem napisać 3-godzinny program. Dwa tygodnie nie wychodziłem z domu, tylko rano po chlebek i maselko, bo nic innego zresztą wtedy nie było. Napisałem muzykę do tańców różnych regionów: wielkopolskiego, krakowskiego, cieszyńskiego, rzeszowskiego, kujawskiego oraz do tańców góralskich. Ze względu na ich charakter, musiałem zastępować

instrumenty, żeby na przykład używać efektu basu, etc. Porządkowałem powoli chór, solistów. To był taki początek upowszechnieniowy, bo za chwilę zacząłem się przyglądać środowisku. Nie byłem stąd. Chciałem wiedzieć, jaki drzemie w nim muzyczny potencjał. Tak m.in. ściągnąłem do do WDK-u Bastard Irka Rysia. Wpatrzyłem go w czasie jakiegoś plenerowego koncertu. Kapelę prowadziłem jeszcze 3 lata. Ściągnąłem też z powrotem do ZPIT Józefa Rosińskiego, ale nie było wsparcia ze strony dyrekcji, kończyła się też powoli era folkloru. Do tego nie mogłem się porozumieć z Barbarą Stasiak ówczesną choreografką zespołu i przekazałem kapelę Grzesiowi Konopczyńskiemu.

Do Konina przyjechał ze mną zespół akordeonowy (Koniński Kameralny Zespół Akordeonowy, 30-lecie działalności,



2009 – przyp. red.), z którym w 1984 roku zdobyliśmy III nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Zespołów Akordeonowych i Orkiestr w Międzyrzeczcu. Potem w 1985 roku założyłem Dziecięce i Młodzieżowe Studio Piosenki. Wpłynął na tę decyzję na pewno fakt, że w Koninie odbywał się już festiwal dzieci śpiewających, przy którym byłem od samego początku. Moją wychowanką, Ania Stawierajówna osiągnęła chyba dotąd niepowtórzony sukces, zdobywając 5 „Złotych Aplauzów” w kolejnych latach. Studio było szansą na wychowanie i przyciągnięcie dzieci, zainteresowania ich muzyką i piosenką. Uczestnicy poja-

wili się natychmiast. Bardzo dużo wtedy jeździłem w teren z pracownikami działu instrukcyjno-metodycznego na konsultacje, prezentacje, przeglądy w gminach. Wtedy wspólne muzykowanie tworzyło między ludźmi więzi, tradycję. Obecnie nie ma muzyki w szkołach, staje się ona dostępna dla ludzi, którzy chcą coś więcej zrobić. Ale nie ma zupełnie dobrych podstaw. Brakuje więzi między szkołami, szkołami muzycznymi, ośrodkami kultury w tym zakresie, brak spójnych i wspólnych zasad umuzykalniania. Zawsze byłem za tym, by tworzyć własne środowisko, bo inaczej nie da się ludzi zatrzymać, żeby nie emigrowali. A nawet jeśli wyjadą, będą gdzieś indziej, to, żeby mieli świadomość, że mają tu swoje gniazdo. Dlatego m.in. stworzyłem orkiestrę. Kilka lat temu miałem trudności z obsadą w Konin Band Orchestrze. Teraz mamy zastępstwa na instrumentach. Jest jeszcze jedna rzecz: granie w zespole, w orkiestrze jest uzupełnieniem wykształcenia uczelnianego. Dopiero wtedy absolwent uczelni staje się muzykiem. Nie wtedy, kiedy samodzielnie ćwiczy. Orkiestra, którą dyryguję z Krzysztofem Pydyńskim, towarzyszyła najstarszym dzieciom śpiewającym w ostatnich 3 edycjach MDFPIT, w 2010 roku tworzyła muzyczną oprawę Derbów, akompaniowała Robertowi Rozmusowi i Marcinowi Dańcowi. Zaprezentowała się również na Old Jazz Meeting „Złota Taraka” w ławie.

Marzenia o miejscowej filharmonii? Jestem realista. Najpierw od podstaw trzeba uporządkować edukację muzyczną.



**Małgorzata Kazuś**

**kierownik działu artystycznego KDK, pedagog, instruktor tańca**

Serce nie służy, stąd moja obecność w Koninie. Od 1991 roku jestem związana z KDK. Prowadziłam tu formy taneczne, wcześniej także w innych ośrodkach kultury. Przez 4 lata prowadziłam zespół ludowy Wiwat, w „Oskardzie”, przez pół roku współpracowałam też z ZPIT „Konin”. Nie był to już najlepszy czas dla folkloru. Przeszedł być lubiany. Nie inwestowano w niego. Ażby mógł istnieć zespół opracowany, jaki ja chciałam prowadzić, są potrzebne ogromne pieniądze. W tym czasie zaczął już dominować taniec nowoczesny. Jedyną szansą na reaktywację takiego zespołu – a taką próbę KDK podejmuje – jest praca z małymi dziećmi, z którymi można zacząć edukację od tańców narodowych. Konin leży na pograniczu Kujaw i Wielkopolski. Nie ma własnego folkloru. Dominuje tu ludność napływowa, jako region nie posiada własnych tańców, strojów. Jedyne nieliczne pieśni. Trudno więc mówić o folklorze. Ale przez wychowanie, można by do tych korzeni powrócić.

Zawsze prowadziłam równoległe dwie grupy, których techniki opierały się na tańcu nowoczesnym i ludowym. Był więc Alfa Dance i Wiwat, później Zderzenie i ZPIT „Konin”. Często było tak, że uczestnicy tańczyli w obu zespołach. Łatwiej ich było wtedy namówić do tańca ludowego. Jeśli dzieci, młodzież są związane z instruktorem, często dzielają jego pasję i łatwiej je zachęcić do czegoś, co nie jest popular-



ne czy akceptowane wśród rówieśników. Przez 5 lat w Zderzeniu prowadziłam 3 grupy wiekowe. Dla mnie satysfakcjonujące jest to, że spotykam dziś już dorosłych moich uczestników, którzy wspominają, że w zespole panowała rodzinna atmosfera. Rodzice przychodzili, parzyli herbatki dla dzieci. To wszystko inaczej funkcjonowało. Nie było takiego zaplecza administracyjnego, środków finansowych, kombinowało się stroje z kotar, które zostawały po różnych dekoracjach, bo nie inwestowało się dużych pieniędzy.

Dzięki festiwalowi dziecięcemu pojawiły się zespoły z Polski, świetnie ubrane. Nad których jedną choreografią pracowało wiele osób. Jako gospodarze, musieliśmy podążyć za tym, żeby i nasze zespoły mogły rywalizować z innymi grupami. Mam trochę inne spojrzenie. W mojej pracy najważniejsza jest edukacja artystyczna, nie rywalizacja. Dla mnie występ, udział w konkursie, ma być efektem pracy, a nie celem. Przygoda z tańcem bywa epizodem. Kształtuje osobowość dziecka i uczy je wyrażać siebie, uczy też współpracować w zespole. I jest to satysfakcją, kiedy ludzie po latach proponują spotkanie, bo ten czas w Zderzeniu wspominają miło.

W tej chwili w dziale artystycznym, który w większości skupia instruktorów tańca, obserwuję inne zjawisko. Liczy się bardziej wynik, rywalizacja. Nabór do grup odbywa się na zasadzie selekcji. Do zespołu mogą dostać się najlepsi. Nie jest już tak, że przychodzą dzieci, chcą tańczyć i bez względu na efekt, nikogo się nie wyrzuca. Czasem odchodzą same, czasem są wytrwałe, albo przychodzą ze względu na koleżankę czy kolegę, czy dlatego, że się dobrze bawią. Dzisiaj dzieci mają zajęcia 3 razy w tygodniu. To absorbuje i je, i rodziców. Absorbują też środki finansowe, bo żeby uczestniczyć w festiwalach, przeglądach, trzeba mieć

na to pieniądze. Kiedyś te występy były bardziej lokalne, kilka zgrupowań poza miastem, ale to nie był cel. Była nim zabawa. Świat się zmienia. Zmienia się też ruch amatorski.

Moim marzeniem jest, by warunki do pracy dla dzieci i instruktorów były coraz lepsze. By edukacja artystyczna mogła się rozwijać, bo jest niezwykle ważna w rozwoju człowieka. Marzą mi się nowoczesna sala baletowa, szatnie, natryski. Współczesny standard. Od kilku lat notujemy bardzo duże zainteresowanie formami artystycznymi. Ze względu na braki lokalowe i finansowe, nie możemy przyjąć wszystkich, którzy chcieliby uczyć się. Żeby były środki na to, by dzieci, które zakwalifikują się do udziału w międzynarodowych imprezach, mogły w nich startować, żeby odciążyły rodziców. Kiedyś dziecko przychodziło do domu kultury i było to finansowane przez instytucję. Marzyłoby mi się stypendia artystyczne dla uzdolnionych dzieci. Lepsza baza i trochę więcej pieniędzy. I kolejnym moim marzeniem – po powrocie tej formy po wielu latach – jest dla mnie również salon wystawienniczy dla Plastycznego Atelier Kredka, które wernisuje i wystawy urządza teraz w hallu. Być może ta baza sprzed 40 lat nie jest wystarczająca? Pamiętam jednak, że dom kultury to nie tylko imprezy zawodowe. Profesjonaliści też zaczynali od podstaw.